

S. SANDLER — Powrót i spotkanie. S. SKULSKI — Podejmujemy pieśń masową.
G. SOMMER, W. PUSCHEL — Wiersze. Z. RZEPLINSKA — Piekło hitlerizmu.
K. PIĘTAK, L. GRUSZCZYŃSKA — Dwa pamiętniki z Wielowsi.
G. LASOTA, J. ANIOŁ — Wokół epiki (7). J. NOMERSKA — Kadry artystyczne ze wsi.
M. INGLOT — Recenzja z „Jubiaby” J. Amado. J. BEREDA — Film „O świecie”.
S. KRAKOWIAK — W radzieckim Domu Kultury. W. DRYGAS — Jak Cichocki zdobył świadomość klasową.
W. UDALSKI — Jeszcze w sprawie kadr literackich. L. GOLINSKI — Wnioski z doświadczeń.

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 5. XI. 1950 r.

Nr 44 (275)

TADEUSZ ŁOMNICKI

„KTO — KOGO?”

(Fragment sztuki)

Akt II

Ceska: (wbiega) Józek nie wrócił?
Galsiakowa: Nie.
Ceska: Co teraz będzie. Wydało się. Ignorkowa stonkę znalazła, zebrała baby i wiedzie całom kompanię na pola...
Galsiakowa: Bogaczki rajwachu narobiom...
Ceska: Nie same bogate, nasze też za n. om lecom, widziałam przecie.
I. (biegna) Kasza przedzej!
II. Pali się?
Ceska: Widzicie, Bartkowa poleciała, Nastka Ignorkowa specjalnie nasze baby omotała.
Madej: Ależ to głupi naród.
III. (biegna) Będzie głód!
IV. Od zarazy wygniemy!
V. Pelcia, na rany święte, Staszek został się w kołyse.
VI. Co z Ignorkom?
VII. Zbił jom Kuba...
VII. Przedzej baby, nie ociągać się!
Madej: A naszych nie ma, żeby ich uspokoić!
Ceska: Myśli kto o tym. Na polach ino huczy.
Galsiak: Jak balina dzień roztworzy, to się prawda spać położę... Głupie babisko ta Nastka.
Ceska: Co ja mam zrobić?
Madej: A Zetempy od czego?
Ceska: Chłopcy wyjdą stonki szukać, będzie się robić planowo... tak rzekną Józek, wyjeżdżając, ale co z ludźmi zrobić? Nastka się tak rozwrzeszczała, że Kuba nam coś wyręchuje...
Galsiakowa: Te psiekrwie o głodzie zacno gadać. Naszych porusom. Po co to wszystko, Józek przyjechał by...
Ceska: (chce wybiec).
Galsiakowa: Ceska, gdzie lecisz? Jeszcze cie sponiewierają, rozparzone takie.
Ceska: Wypadkiem, jakby Józek wrócił, niech zaraz do nas przychodzi, do Zetempowców. (wybiega).
Galsiakowa: A jak to pędzom. (woła) Kobity dokąd lecicie?
I. Z babami na pole!
II. Nie odrywaj się do niej, niech syna spyta! W spółdzielni ludzie som mądrzejsi.
Madej: Daj spokój i tak nie poradzisz... wydało się.
Galsiakowa: Chłopy biegnom.
Madejowa: (wpada z chłopami). Kozik i Detko som tu?
Madej: A cóżby tu robili?
Kuba: Józka zawołajcie!
Madejowa: W miejsce jest.
Kuba: Klucze od kasy macie?
Madej: Komisja ma.
Kuba: (zbliżając się do kasy) Licho silne!
Madej: Odstąpcie.
Kuba: Nie drzyjcie się. Całe życie jedna była gromada w Owczarach, to teraz w y p a d k u tyż tak będzie. Pieniądze dostaną wszyscy!
Madej: Gnoju od wos spółdzielnia nie kupuje, to i forsy nie dostaniecie. Odstąpcie stąd zaraz, bo chłopów zawołom.
Kuba: Widzicie go, sami znajdziemy komisję. Otworzon, wypłacom i już. Szarpać się tu z byle kum nie będzie my. (wychodzą).
Galsiak: Chytry chłop ten Kuba i pyskata jucha!
Ceska: (wbiega) Dobierali się do kasy?
Madej: Przegnałem bandę.
Madejowa: Na rany boskie, Ceska, co się dzieje?
Ceska: Chocem pieniądze z kasy wy dostać i rozdać między wszystkich we wsi.
Galsiak: A co nasi?
Ceska: Trochę się opierajom, ale... A kto ma klucze od kasy — tylko Józek?
Madej: Ja mam i jeszcze ktoś z chłopów — niby jeden klucz ma komisja.
Ceska: Chyba kasy nie otworzą, jak myślicie?
Madej: Na najgorsze trza być przygotowany.
Madejowa: Nie otworzom.
Ceska: Bogacie chocem chwile wykorzystać i zniszczyć Józkowski plany — dlatego niech tam chrzestny dobrze bacy.
Madej: Nie bój się.
Ceska: Gdzie oni poszli?
Galsiakowa: Po Zarząd. Kluczów szukać.
Madej: Niech szukają (pokazuje kase). Tam i tak nie ma ani centa.
Ceska: A jak by się pytali, o niczym nie wiecie i szlus.
Galsiak: Ceska nie biegnij tak szybko, bo się na wesele osłabisz.
Ceska: Osłabne, a Józkowski planów scharatować nie dam. O wieś chodź, nie o mnie. (wybiega).
Galsiakowa: A jak się zpytajom, po co Józek do miasta pojechał?
Madej: Wielka rzecz. Po prezenta pojechał.

Madejowa: Spytajom, co z pieniędzmi zrobił?
Galsiakowa: Powiózł do banku.
Madej: Nie martwie się. W ostateczności prawdę można powiedzieć, przecie o stonce już wiadom... A pieniądze w kasie trzymać nie można Regulamin i już.
Kuba: (wbiega z Bartkiem i Wawrzkiem oraz innymi chłopami). Mogliście odradzić mówić kto ma klucze.
Wawrzek: Chłopy, tak nie można!
Kuba: Otwieraj Bartek. Weźmiemy jako pożyczkę. Przejdzie głód to odamy.
Madej: Wara stąd! Przyjdą z zarządu, to wtedy wam pozwolą. Inaczej o pięć kroków od kasy. Już!
Wawrzek: Kuba, nie głupiej do reszty. To jest rzecz poważna. Trzeba zwołać zarząd, chłopów. Niech się zjednom, pomedytujemy... przecie to społeczna sprawa i wsi, i spółdzielni.
Bartek: Tak samo mówiem, pocóżcie mnie tu przywiekli. Nie otworzę!
Kuba: Niech wam będzie, chodźcie po reszcie (wyszli).
Madej: Co takie ścierwo narobi we wsi!
Galsiakowa: To nie on, to Nastka! Jakby tu przyszła, to bym tak strząskała go po głbie, że nie wiem... Ale... a co tu robi Wawrzek? Widzicie go razem z Kubą?
Nastka (wbiega) Był tu mój?
Madej: A był.
Madejowa: Macie interes?
Nastka: Józek pieniądze niech szykuje, po zimniaki pojadam... Cóż wy tacy spokojni, wiecie co się dzieje. Stonka zezarła pół pola, na czterech morgów uschły łęciny. Same badyły ostateły.
Galsiakowa: Mówcie cieszcie, bo się zakrzyżycie, nie śmierć.
Madejowa: Kto to widział taki krzyk robić?
Nastka: Jak nie robić krzyku, kiej wojna będzie. Małom to przesyła i wybiegowała. Chłopa mi zabrali na wojnę, tom sie dwa roky bez niego obchodziła. Po Węgrzech się cholera włożył. Mam być spokojna. Jeszcze wczoraj Kuba mówił, chatupę przed zimą trza postawić. Zdrzemać się trudno było po jego mowie. Ach, jakie życie... Cożecie takie nadej. Tak i tak nikt by pieniędzy nie oglądał. Spółdzielnia by zacharabczyła. A teraz i wy dostaniecie i nam sie coś dostanie.
Galsiak: Komitet wam wczoraj wypłacił, jeszcze sie wam zachciewa!
Nastka: Mało. Co to znaczy wobec głodu i wojny?
Madej: Kto powiedział, że będzie wojna?
Nastka: Sama wiem. Już ja swój rozum mam.
Madejowa: Wiecie co, idźcie stąd, gnieźcie mówię, bo będzie bida.
Nastka: Grozić chcecie? Tych paru groszy skąpicie? Oddamy, nie boicie się.
Madej: Tu nie jarmak. My się z wami targować nie będziemy, przyjdą z zarządu, osądzom...
Galsiakowa: A tych głupich herezji nie rozgadujcie, bo...
Nastka: ...bo co... po milicję posłacie? Wszyscy tak myślom. Jak pieniądze zarząd nie da to sie do gardła rzucom. Kuba wie co ma robić, mówiliam — każdy sie chce ratować. (wybiega).
Galsiakowa: Bez wstydu babisko... Gnoj sprzedawała i żeby to człowiekowi po sąsiedztwu taniej, gdzie tam... teraz zła jak psa, bo spółdzielnia ino od swoich kupuje.
Madej: Skąd oni te wojne wykomunikowali?
Galsiak: Wyczytali w gazecie, że w Niemczech auroplany gadzinę rzucą — i myślą, że u nos to samo.
Madejowa: Och, kłeska ckrępna.
Madej: Podwójna. Na bulwie robak złoży faja i będzie z tego poczwarka. Zeżre cały miąższ, a potem znowu robak gotowy wyjdzie i na przechadce sukłinsyn, amerykańskie nasienie, pozżera zielone. Łęcina uschnie i pole w 6 tygodni może być do niczego...
Kuba: (wchodzi z chłopami) Wchodźcie, wchodźcie wszyscy... jak kupa, to kupa.
Madejowa: Toż to sami bogacze...
Kuba: Jak widzicie, przyszło nas więcej.
Madej: Pięknie. Izbę wam na posiedzenie odstąpię.
Kuba: Waszych jeszcze nie ma, mieli przyjeść?
Madej: Jak widzicie.
Kuba: Zaczekamy. Naradzimy się przed tym nim przyjdą. Potem otwieramy, płacimy i zgoda. Żadna to kradzież, nam sie tak samo należy, jak innym. Kto nie chce, może nie brać. Podzielmy się po sprawiedliwości. Kto bierze, ręka do góry. (podnosi).
Madej: Kurek bogaty, niech innym doda.
Kurek: Nie podjudzajcie stary... co wy o mnie wicie, nędza, aż piszczy.

Galsiak: Nima komu gnoju sprzedawać?
Kuba: Nie wasza rzecz. W zarządzie nie jesteście, to nie gadajcie.
Madej: Ale izba moja.
Kuba: Zachciało sie Józkowski wieś odbudowywać, to i gości ma, interesantów nielichych.
Madej: Tego nie mówię...
Kurek: Mimo spółdzielni wykopyrtnąć sie łatwo, uważajcie!
Kuba: Cicho Kurek, niech se gada. Zobaczymy, co powie po obrachunkach z roku, jak do gęby nie będzie miał co włożyć.
Madej: Skąd ty taki pewny?
Kuba: Nie widzę? Spółdzielnia ma deficyt, wiadomo.
Galsiak: Rok 12 ma miesięcy, a zły prorok nie pieniądze.
Kuba: Przed nauczycielem chwalcie sie swojom mądrością, tu go nie ma, bo i analfabetów nie ma.
Galsiakowa: Analfabetów, nieuku pierośki.
Kuba: Ty dran!u, będziesz mi ubliżała... ty?
Madej: Kuba, róbcie swoje, ino mi gości w domu nie napastujcie!
Kuba: Straszycie? Ho, ho, sami zaczynacie swary, a gospodarzom nie wypada, względem gości... Zobac tam który, czy nie nadchodzą.
Kardus: Długo tak będziemy czekać?
Mrozi: Mówcie Kuba wreszcie, jak to dzielić będziemy.
Kuba: Zwyczajnie: pogorzelcom większy procent, niepalonym mniejszy. (wchodzi paru) Nie widać nikogo?
Suter: Niu.
Kuba: Tek procentowo, jak wam się wydaje?
Kardus: Po sprawiedliwości to ino spółdzielni zachamcom dużo pieniędzy, dla nas mało zostanie!
Kurek: Prawde mówię, o sobie musimy myśleć — po równym.
Kuba: Uspokójcie się, tyle weźmiemy, żeby głodówkę przebić. (wchodzi baby i chłop). Spółdzielnia w komplecie. A zarząd gdzie?
Bartek: Radzom.
Kuba: My na wesele też nie przyszli. Uradzimy może bez nich lepiej. Stuchajcie, dzielmy tak...
Kobieta: Cóż tak pokrzykujesz Ignorek, forsa jest nasza, spółdzielnia i my będziemy dzielić... a że wy też potrzebujecie, to wam na ciężkie czasy pożyczkę kapniemy.
Wojtochno: Mądrze, mądrze, Bartek, ile w kasie?
Bartek: Razem przeszło czterysta.
Pachno: Klucze masz?

A. F. KIRLO-NOWACZYK

POZDRAWIAM RĘCE

Ludzie, co z remiz wyprowadzają traktory,
ci, co w głębinach ziemi dobywają węgiel,
ci, co odgruzowują spalone miasta,
ci, co budują pomniki bohaterom —
są ludźmi nowego czasu.
Towiem ręka spoczywająca na kole sterowym,
ręka uzbrojona w wiertarkę i kilof
i ta, co dźwierząca szpadel,
i ta, co dłużem nadaje brylom ludzkie oblicze,
trudem naprężonych palców
zamienia pustynie w kwitnące oazy.
Pozdrawiam ręce tych,
którym przyszłość zarysowuje się jak gmach
pełen radosnego gwaru i światła.

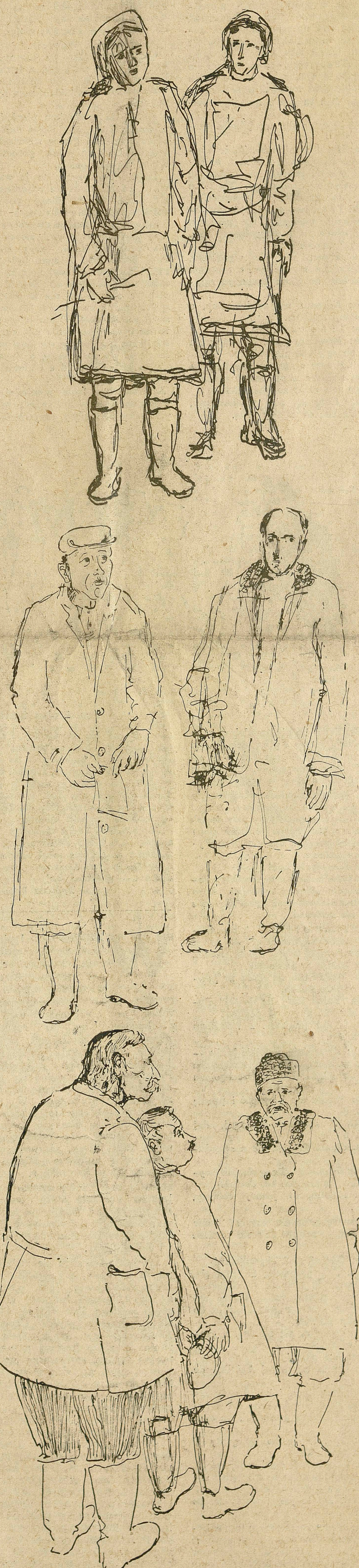
W PIERWSZYM ROKU PLANU 6-LETNIEGO

Dzień dobry! Dzień dobry, towarzysze!
Jak się macie? Co u was nowego?
Pono z rozmachem wesłicie, jak słyszę
w pierwszy rok planu sześćioletniego.
To się wam chwali, towarzyszu wójcie,
i nie żal niedospianych nocy,
kiedy się nowe pocyna w trudzie
i światłością napiera w oczy.

Trudny bywa krok pierwszy — wiadomo —
ale kiedy głowa nie od parady,
kiedy się myślą weszło już świadoma,
to już tylko iść dalej — nie da rady!

Wrz z myślą czyn nasz będzie dojrzewać
w pełny, rumiany owoc —
wiadomo, towarzyszu, gęba nie cholewa
kiedy rozum kieruje głową.

Oto się dziejów odwraca karta,
żeby u nas dobrze właśnie — nie inaczej —
patrzy na was towarzysze Partia,
naród patrzy!



Rys. Stefan Gierowski

„KTO — KOGO?”

SAMUEL SANDLER

POWRÓT I SPOTKANIE

(dokończenie ze str. 1-cj)

Cesia: Po co kłamięś kula! W gazetach stało, że te hycie amerykańskie na Niemcy puściły z samolotu robaki a wiatr doniósł do nas, ale gdzie tu wojna? Ludzie, towarzysze, patrzcie, jakiego ten przemądrzały kulaś od wala głupka. Nieboraczek, niby nic nie wie, że na całym świecie krzyczą miliony przeciw wszelkiemu morderstwu i wojnie, zjadły, zbrania się odbywają w sprawie pokoju, apel będziemy podpisywać, a ten...

Bartek: Zarząd idzie. Puścić. (wchodzi: Kozik, Detko, Wrona, Chorda i paru innych).

Cesia: W samą porę towarzysze! Kozik (do Bartka) Czegoście wcześniej nie zawezwali?

Bartek: Zagadali mnie, no i... Kozik: No i co? Kase byś otworzył, bo cie zagadali! A wsz jakom widać sprawujesz w komisji, dzieciu peronist? Spółdzielnie byś wykonywał, starbinka byś na szaro zrobił, a Józek by do kryminału poszedł... bo cie zagadali. Gdzie som klucza. (podaje) Ito, co? Towarzyszu Detko, coś mi sie pomieszczo w oczach, nie każdy z nich co spółdzielnia należy... prawda?

Detko: Jest tu sporo i spółdzielniach.

Kozik: Sprawę do nos jakimś macie?

Kuba: Nie udawajcie Kozik, że o niczym nie wiecie. Głód będzie, to my przyszli o swój procent sie upominac na ratowanie dzieciaków. Szczerze mówimy. Jak gromada, to gromada.

Kozik: Ty mi tu o gromadzie nie gadaj, żadnych pieniędzy nie płacimy. Stodół macie pełne. Przychówek jest. Suter: Zazdrość wam?

Detko: Proszę sie nie wydierać, obywatelu. Zaraz znać, że na zebrania na chodźcie, do głosu trzeba sie zgłaszać.

Kozik: Nikomu nie zazdrościmy, a kase mamy swojom.

Kuba: To nie dacie?

Kozik: Mówiłem już. Towarzyszu Detko, chciecie coś powiedzieć.

Detko: Proszę o opuszczenie izby bo sie wnet siekierę w powietrzu zawiesi. Zostajom im sami ze spółdzielni.

Kuba: Chłopy, nie wychodzimy, dzielić sie bedom między sobą.

detki po kątach liczm. Oni do pieniądze spódlizni? Nie sfiksowany naród? Za takimi ludźmi idziecie — i na przeciw własnego dobra! Oni by was na rzemysku za nie sprzedali. A co Józek wczoraj mówił? Te pieniądze na budowę! Kto chce w tej sprawie co podzieć? (cisza) Towarzyszu Detko, może wy co powiecie?

Detko: Towarzysze i spółdzielcy. Wstyd to wielki dać sobie głowę zawrócić. Ale kto ją nam zawrócił — stawiam pytanie. Czy tylko ludźle ze ws? Czy to tylko robota takiego kulaśka, Kuby? Przecież dzisiaj zetępowcy mieli wyjść na pole. Zarząd miał ogłosić pojawienie się stonki, pobudzić ludzi ze wsi do wspólnej walki, przy okazji dać polityczne naświetlenie sytuacji międzynarodowej. Sprawa leżała w naszych rękach. Kto ją nam z rąk wytrącił? Tu podobno już z pierwszymi chłopami ze wsi przylecieli nasi spółdzielcy: Miłala, Kowalik, Ptachno — kto was wołał, Kuba?

Ptachno: Nie, Wawrzek. Galisiakowa. To my wiemy. Kuba się dowiedział od żony, a Ignorka od Wawrzka, od naszego spółdzielcy.

Detko: Ach tak? A za czym był Wawrzek?

Cesia: Za rozdaniem pieniędzy. On pilnował Kuby, aby Kuba najbardziej uroczyście nam głowę zawrócił. Wiesz i spółdzielca to jedna gromada, na takim jechał koniku.

Detko: Towarzysze, to ja wam powiem, co mi rzekł na ojedzonym Józku. Teraz to już mogę powiedzieć publicznie. Znać Wawrzka, to nasz średniak. Ale taki niewyraźny średniak. Ziemi miał więcej, ale też bagniasta, nieużytku dużo, więc średniak. Jego przeszłość? Zawsze był „interesant”. Handlował swego czasu gęśmi, miał sklepik. Przy spółdzielni samopomocy zwinął go, ale to dusza niepokojna... za interesami. Dlaczego poszedł do spółdzielni? Na wsi wywarło to duże wrażenie i dla nas korzystnie. Ale teraz nie pomylę się, jeśli powiem, że liczył na meliorację, a w rezultacie na grubą dochód z wkładu swych morgów.

A teraz co mi Józek powiedział. Wawrzek chciał pożyczyc spódlizniach pieniędzy, 50 tysięcy, oczywiście po ci-

MOŻNA powiedzieć, — pisał jeden ze współczesnych Henrykowi Kamińskiemu — że żadna książka w Księstwie tyle czytana nie była, co „Prawdy Żywotne”. Doszła ona do wszystkich warstw społeczeństwa i niezaprzeczenie najbardziej umyślnemu, misjonarstwu mieszczańskiej rewolucji usposoblała. Cóż, że jest to re-lacja nieomal ucznia Kamińskiego — Władysława Kosinińskiego, który twierdził, że przez niego wyprowadzony był do ruchu niepodległość owego, do działalności politycznej?

Dziela Kamińskiego, zwanego „Prawdy Żywotne narodu polskiego” (1844 r.) oraz „Katechizm demokratyczny” (1843 r.) zawierały w sobie treści, wobec których nikt nie mógł w Polsce pozostać obojętnym. Kamiński dokonywał bezlitosnego obrachunku z przeszłością. Polski państwo, szlachectwo i niewola chłopiejskiej, z żelazną logiką obracał ograniczoność stanowiąc ruchów niepodległościowych w przeszłości i współczesnych sobie, kreślił perspektywę walki o Polskę ludową, uzasadniał bezskuteczność walki wywołanych pozbawionych treści rewolucyjnej, wypracowywał strategię i taktykę powstania — rewolucji społecznej.

Książki jego budziły gniew i oburzenie, sympatie i naśladowanie. Szlachę reakcyjną i poeci — Krasinskiego dostrzegł w nich widmo rzęzi i terroru. Nieleżni czytelnicy chłopscy widzieli w „Prawdach” uzupelnienie wskazań swego przewodnika — ks. Ściegiennego. Obóz szlachecko-niepodległościowy dojrzał w Kamińskim niebezpiecznego przeciwnika; usiłował z nim walczyć i bezskutecznie paktować. Carski zaborca mimo, że nie zdołał wykryć w nim niebezpiecznego spiskowca, właściciela pseudonimu „Prawdowski” i autora „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego” wysłał go jednak na wygnanie do Wiatki.

Wszystko to czyni z Kamińskiego pasjonującą postać naszej historii demokratyczno-rewolucyjnej ruchów społecznych. A jakoż dysproporcja między tym fenomenem naszych dzieł i jego poprzednim stuleciem, a wiedzą o nim posiadaniem?

Dwie lub trzy sprzeczne ze sobą monografie o Kamińskim, parę przyczynków wnoszących już poza tym niewiele do naszej wiedzy o nim, kilka stron w Limanowskiego „Historii demokracji polskiej” oraz w „Historii ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r.” — to wszystko lub prawie wszystko. Ostatnie wznowienie jedynej z prac Kamińskiego pochodzącej z 1911 roku. Dopiero po wojnie ukazał się w popularnym wydaniu skromny wybór pism Kamińskiego z właściwym komentarzem, ułatwiającym zrozumienie jego roli historycznej.

Jak słusznie stwierdza Leon Przemski — tajemnica założonego stanu badań nad autorem „Prawd żywotnych”, niedocenienie, lub przemilczanie go wynika w dużej mierze z wrogości mu postawionej historyków minionej doby. To co bezspornie stanowi o jego wielkości, nieprzejawną radykalizm społeczny i zdecydowaną postawą rewolucyjną niewątpliwie odrzucały konserwatywnych badaczy mieszczańskich. Ale ubóstwo źródeł, pozostałości świadectwa konspiracji mieszczańskiej i rewolucyjno-demokratycznej połowy XIX wieku w Królestwie odgrywa tu również niepoślednią rolę. Pisarz podejmujący trud artystyczny

nego ukazania sylwetki żywego Kamińskiego napotyka więc na bardzo istotne trudności. Z jednej strony grozi mu fragmentaryczność przedstawienia „bohatera”, z drugiej zaś — stworzenie fikcyjnej relacji o postaci historycznej, której urzekająca oryginalność Przemski zamierzał właśnie ukazać możliwie nawiernie. Autor opowieści biograficznej o Kamińskim pisze w posłowie do swej książki: „Uważałem, że będzie mniejsza, krzywdą dla Kamińskiego, jeżeli tam, gdzie historia jego życia wykazuje lukę, sylwetka jego wypadnie raczej tylko blisko prawdy niż prawdziwa, raczej żywa niż wier-na...”

Przemski zatem nie wyrzeka się artystycznego kształtowania postaci i jednostkowych losów autora „Prawd żywotnych”, ale wierność historycznej rzeczywistości czyni najistotniejszym kanonem estetycznym. Jak sądzi, jest to najszlachetniejsza droga tworzenia realistycznej w zakresie t. zw. powieściopisarstwa historycznego.

Urok pięknej książki Przemskiego wyróżnionej niedawno państwową nagrodą literacką, tkwi przede wszystkim w artystycznie trafnym ukazaniu indywidualnych losów Kamińskiego splecionych ze współczesnymi mu wydarzeniami, w ukazaniu Kamińskiego żywego, umieszczonego w swej epoce. Wagę tego stwierdzenia najłatwiej sobie uprzytomnić przypomnienniem raz jeszcze trudności pisarza, jego borykanie się z brakiem realiów.

Autorem, nie uciekającym się do retuszowania ograniczonej ideowej i polowiczności Kamińskiego — rewolucjonisty obciążonego tradycją szlachecką, której nie umiał do końca przezwyciężyć, zdołał w sposób umiejętny, zgodny z marksistowską wiedzą o ruchach rewolucyjno-demokratycznych tamtego okresu, ukazać całą nieprzeżyciowość swego bohatera, jego imponującą, mimo wszystko przenikliwość społeczną. Więcej, celnie zdołał stworzyć artystyczną konstrukcję tego, co nazywamy społecznym doświadczeniem Kamińskiego, obiektywnym źródłem postawy ideowej.

Nie ulegając schematyzmowi, Przemski wydatnie donosił rolę historyczną obozu, którego ideowym przedstawicielem był autor „Prawd żywotnych”.

Lenin pisał: „Póki masy ludowe Rosji i większości krajów słowiańskich pogrążone były jeszcze w głębokim śnie, póki w krajach tych nie było samodzielnymi masowymi ruchów demokratycznych, póty szlachecki ruch wyzwolenia w Polsce nabierał olbrzymiego, pierwszorzędowego znaczenia ze stanowiska demokracji, nie tylko ogólnorosyjskiej, ale i ogólnoeuropejskiej”.

Wyjątkowość Kamińskiego, bojownika „szlacheckiego ruchu wyzwolenia w Polsce” polegała właśnie na tym, że był jego najradzykalniejszy ideologiem, że w jego dziełach zawarte są już elementy przezwyciężenia klasowej ograniczoneści tego ruchu. Dostrzegamy w nich niekonnekwencje, polowiczność — to prawdziwa „szlachcka” „samodzielnym” zespół — „samodzielnym”

*) Leon Przemski: Henryk Kamiński. Państwowy Instytut Wydawniczy. 1949 r. Str. 267.

masowym ruchem demokratycznym”. Utopijne dążenie? Niewątpliwie. Ale wielkość Kamińskiego polega na tym, że do jego świadomości dobiegała już kruchość tych projektów i działań praktycznych. Konstruuje strategię powstania narodowego i podkreśla nieodzowność połączenia go z rewolucją demokratyczną, z wyzwoleniem społeczno-ekonomicznym chłopstwa, przewidywał możliwość kontrewolucyjnego działania klas dotąd uciekających, ale przekonanie o patriotycznej postawie szlachty doprowadzało go do złudzeń solidarnościowych, do wiary w możliwość jak pisał „rewolucji społecznej w powszechnej całej narodu jednności”. Równocześnie jednak pouczal o konieczności „terrorizmu” re-



Henryk Kamiński

wolucyjnego, który powinien osiągnąć nie tylko jednostki, ale całych klas, gdyby przedstawiał miły kontrrewolucyjną masę”.

Przemski w swojej książce unika raczej metody ukazywania Kamińskiego poprzez jego pisma, błąd o którego częstokroć nie są wolne inne współczesne opowieści, czy powieści biograficzne. Posuwa się nawet do stworzenia bardzo osobistych fikcyjnych listów z zesłania, w których „licentia poetica” ogranicza się do samej formy wypowiedzi, treść natomiast odpowiada wiernie sądom i przekonaniom holdowanym przez Kamińskiego. Ten zespół środków artystycznych, do którego należą partie dialogowe raczej „bliskie” prawdy niż prawdziwe, bezpośrednie ukazanie Kamińskiego w epizodach podjętych logiką artystycznej konstrukcji a twórczo wydobytch z luźnych danych i waltich relacji, sprawia, że Przemski zdołał stworzyć sylwetkę żywą i plastyczną. Książka o Kamińskim — i to jest jej największą zasługą — ożywia w naszej świadomości pamięć o wielkim rewolucjonście, o świadomym ideologu międzynarodowej walki s rewolucyjnych przeciwko despotyzmowi. Uczyniła go nam bliskim, zrozumiałym.

Mimo pozornej paradoksalności nie waham się twierdzić, że książka Przemskiego tkwi głęboko w naszej współczesności. Przenikliwe spojrzenie w przeszłość, artystycznie celne ukazanie perypetii najbardziej radykalnego przedstawiciela szlacheckiego obozu wyzwolenia w Polsce połowy dziewiętnastego wieku wzbogaca bowiem naszą wiedzę o walkach i trudach dnia dzisiejszego. Kamiński nigdy — jak wyraża się o nim

metaforycznie autor opowieści — nie spotkał się na swej drodze życiowej z Marksem, nie przyswoił sobie jego wielkiej nauki dającej najszlachetniejsze odpowiedzi na trapiące go problemy. Kamiński nie zdołał zerwać w sposób ostateczny z klasą, z której wyszedł i której sytuacja historyczna ograniczała i tak niebawem rozległe horyzonty jego myśli.

Dopiero spadkobiercy i realizatorzy wskazań twórcy naukowego socjalizmu umiejący dokonać ścisłego rozrachunku z przeszłością, z tradycją minionych czasów, zdolni zrozumieć i umiłowad wszystko co było w nich wielkiego i bliskiego walce o postęp, wyznaczyli spotkanie genialnemu nauczycielowi rewolucji proletariackiej z polskim szermierzem wyzwolenia społeczno-rodowego. Głęboko wzruszające są ostatnie partie książki Przemskiego zawierające relacje o wydaniu przez bojowników Wolnej Francji w roku 1943 skrótu „Wojny ludowej” Kamińskiego opatrzonej tytułem „L'insurrection est un art” („Powstanie jest sztuką”) zaczerpniętym z Marksa.

Spotkanie to — jeśli już pozostać przy tej metaforze — symbolizuje wielkość Kamińskiego, którą zdolni jesteśmy współcześnie dostrzec za całą jego polowicznością, niekonsekwencją. Jest w tym i zasługa pięknej książki Przemskiego ożywającej nam tę postać, wydobywającej ją z krzywdzącego zapomnienia.

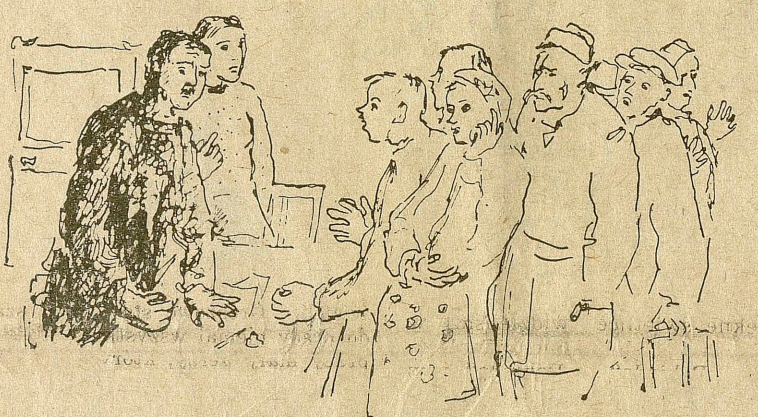
Czy nie dostrzegamy braków w książce o Henryku Kamińskim? Sądzę, że nie jest ona od nich wolna. Sugestia dzieł „bohatera” przy równoczesnym ubóstwie źródeł spowodowała zapewne te wady w rysunku sylwetki Kamińskiego, które wywołują wrażenie potraktowania go jako jednostki zbyt kontemplacyjnej, biernej. Kłóci się to nawet z tymi znikomymi relacjami, które przechowały się o Kamińskim — działacz i być może czułym kierownikowi nielegalnego Związku Narodu Polskiego. Gdy przedstawiciel szlacheckich działaczy niepodległościowych Poznańskiego — Guttry pertraktuje z Kamińskim o podział „strefy” wpływów ideowych” czytelnik opowieści Przemskiego sądzi, że ma do czynienia ze zwyczajną fanfaronadą, chociaż tradycja, dane istotnie szupile, sugerować mogą odmienną interpretację tego epizodu. Może Guttry nie przeceniał roli Kamińskiego w ruchu konspiracyjnym?

Pewne zastrzeżenia budzą również zbyt schematyczna interpretacja polowiczności radykalizmu Kamińskiego wywodzonej w sposób uproszczony o osobiste, materialne więzi ze szlachtą. Z wieści przejawiającej się w posiadaniu przez autora „Prawd” pańszczyźnianie wsi — Rudy.

Innego rodzaju wadą pewnych partii opowieści, zwłaszcza początkowych jest nadmierna retoryczność niektórych ustępów oraz rażąca konwencjonalność niektórych scen np. majaków sennych Kamińskiego w cytadeli i scena z Paprockim — współwzięciem.

Wzmiankując o pewnych wadach książki — niektóre z nich napewno mogą być jeszcze przedmiotem sporu — trzeba przypomnieć, że nie mogą one przesłaniać niewspółmiernej wartości opowieści Przemskiego, cennej osiągnięcia naszej literatury ostatnich czasów.

Samuel Sandler



Rys. Stefan Gierowski

Mroził: Teraz im nie poradzimy, mają już swoją głowę i pieniądze ich, to choćby nam oddali nasz udział na każdego drobno wypłacić. Daj spokój Kuba. Niech im ością w gardle stanie.

Baba: Pewnie, choćcie. Nabieramy robaków i w pola im puścimy.

Bugaj: Bedom mieli pieniądze, to ich głód omnie. (do chłopca ze spółdzielni) Puszczaj ty bogacza bez morgów. Wychodzimy przecie.

Kuba: Nie wychodzi!

Baba: Chodź, Kuba, te chytrusy kota odwróć omgnem i jeszcze kogo zamknom, nie przystoi cziółkiewikowi z łajnem sie zadawać.

Kuba: Takęście sie żarli, tak pyskowali, a teraz odchodźcie? Ja swoje mam, niech szlag trafi... ale ty, Kozik, będziesz jeszcze w potrzebie.

Kozik: Może bede, od ciebie na pewno nie wazne, zmoro.

Nastka: Kuba jest? Ile dostol? Puścić, puścić... po wiele placom?

Baba: A ino placom... z kwitkiem odprawiajom.

Nastka: Niemożliwe. Gdzie Kuba — wiesz, że w naszym kartofliu robaka Maryśka znalazła! Groza, dlaczego nie placom?

Detko: Proszę nie krzyżeć i proszę wychodzić!

Nastka: W domu se rozkazu, doj forse to pójde.

Kuba: Chodź Nastka, nic nie wydusisz!

Nastka: Odejdź pókim spokojna (wyciąga rękę) pieniądze tu, dawaj!

Kuba: Nastka, do jasnej cholery, chodź!

Nastka: Oglupio cie, czy co? Krów se dokupimy, łazog! Jak sie te kase otwieraj?

Detko: Odejdź stąd obywatelu!

Nastka: Jak gromada, to gromada, jak ratunek, to ratunek — człowiek, człowiekowi pomóc musi, wojna będzie, z głodu dzieci wymrą... Ludzie do serca wam mówie.

Kuba: Geby ci nie stanie... a gro-nia nie wydusisz.

Nastka: Nie pójda!

Kuba: Chodź do jasnej Anielki, nie opieraj sie!

Nastka: Mówiłam, żeby zarządu nie wołać, bo ci gówno dadom, coś narobił, a masz draniu pieroński, zawsześ mądrzejszy.

Kuba: Ty... (wypycha ją) gnaty ci poprzetracomo... Ty!

Cesia: (gdy zostali sami spółdzielcy). Z tego wszystkiego ino sie między sobą pobijom i tyle będzie.

Ptachno: No to jak towarzysze, co robimy?

Kozik: Towarzysze, serce mnie boli, jak patrze na was, i powiedzieć wstyd. Patrze, patrze, a tu głowa w głowę głupia, jak but. Jaki głód wam grozi? Za tymi bogaczami ciągnięcie, co pokapować nie mogom niczego ino

WIAOMO, że i piosenka w słowach i melodii wyraża kulturę narodu. Nie przypadek, że w programie planu sześciolatniego, że walcie o większą wydytność z każdego ha, o rozbudowę przemysłu, komunikacji, drog — będzie towarzyszyła walka o rozbudowę urządzeń kulturalnych. Przez umasowienie dobrej pieśni, muzyki, teatru wsczeplamy kulturę w masy pracujące. W naszej społeczno — literackiej prasie coraz konkretniejsze ukazują się na ten temat wypowiedzi. Wymowną jest praca Zefi Lissy, zamieszczona w pierwszym numerze „Muzyki” na miesiąc kwiecień 1950 r.

Autorka w swoim artykule („Raz jeszcze o polską pieśń masową”) zwraca baczną uwagę na kształtowanie się pieśni ludowej w Związku Radzieckim. Zauważmy, co mówi Zofia Lissa:

„W kształtowaniu się radzieckiej pieśni masowej szczególnie ciekawym zjawiskiem jest przerwianie pieśni ludowej w nową pieśń masową. Tak właśnie powstawały pierwsze pieśni Czerwonej Armii. Wpierw podkładano pod znane melodie ludowe nowe aktualne teksty, zmieniając ich pierwotny rytm na marszowy. Potem kompozytorzy świadomie chwytali najbardziej popularne, obiegowe motywy przetwarzając je na nowe treści i formę pieśni masowe. Takie przerastanie folkloru (w różni, ch jego postaciach) w pieśń masową widzimy u Kastalskiego, Wajew-Bugaję, Dawidenki, Łobaczowa i in. Liczne pieśni Dymitra Pokrassa, które uzyskały tak wielką i trwałą popularność utkane są właśnie z motywów folkloru ukraińskiego i południowo — rosyjskiego. Powodzenie pieśni Dunajewskiego w połowie lat 30 miało swoje źródło w tego samego typu inwencji melodycznej, którą kompozytor umiejętnie kojarzył z pe-

SEWERYN SKULSKI

PODEJMIELMY PIEŚŃ MASOWĄ

wnymi wpływami filmowo — jazzowymi piosenką. Z wiejskim folklorem najbardziej związana jest twórczość Włodzimierza Zacharowa, wieloletniego kierownika zespołu chóralnego im. Piastnickiego. Repertuar tego zespołu, który kulturowo głównie oryginalne pieśni środkowo-rosyjskich rejonów (Woroneża, Kaluzi, Moskwy) a zwłaszcza oryginalna ludowa polifonia tak dalece przeniknęły w własny styl kompozytorski Zacharowa, że liczne jego pieśni kursują po kraju, powszechnie przyjmowane jako ludowe”.

Na masowe wykołanie się masowej pieśni ludowej dziś czekać nie możemy, zespół ludzi znających naszą ludową kulturę muzyczną winien opracować, czerpiąc z tego źródła, nowe pieśni. Budowa nowych form życia społecznego, łożenie podwalin pod socjalizm, nowy stosunek do pracy, współzawodnicstwo, przechodzenie naszej wsi z form gospodarki indywidualnej do wyższego stopnia gospodarki wspólnej, czas w których młodzież chłopiejsko-robotnicza ma wszelkie możliwości kształcenia się, a każda szczerza i oddana Polsce praca ma szansę awansu, kiedy kobieta przy mężczyźnie w budowie Polski staje z kielnią, siada na traktor, awansuje na dyrektora, gdy z miłującymi pokój narodami świata i światową klasą robotniczą walcymy o trwałą pokój, gdy wkroczyliśmy w pierwszy rok naszego planu sześciolatniego — wszystko to woła o nową głośną, mocną a piękną pieśń.

Mamy chyba o czym śpiewać?

Czyż nie utrwalił nam w pieśni tego momentu, gdy po zgłoszeniu zgody przez ludność wiejską na

spółdzielnię produkcyjną, traktor wychodzi na pola i pruje plugami przez miedze, odwieczne swary, kłótnie, bójkę, procesy i nędzę nasza.

Pstrowskiego już nie ma, ale tyśiące Pstrowskich zajęło jego miejsce, o tym pierwszym Pstrowskim przez długie lata winna żyć masowa pieśń, Małorolna i ciemna wczoraj chłopka z Białostockiego, po kursie alfabetów, dziś siada i pisze list do redakcji, pisze jak się panoszy kumstetowno w ich spółdzielni gminnej, jak wróg klasowy wciągnął się do spółdzielni na szkodę mało i średniolnym, na szkodę państwu ludowemu. Korespondencja okazała się prawdą, wróg został usunięty. Jak nie śpiewać o tej walce wiejskiej?!

Nie wszystko przekreśliłamy co minelo. Co było pięknym i wartościowym, poniesiem dalej w pieśń, muzykę i literaturę. Z przeszłości naszej, także możemy wiele zacerpnąć i umasować. Jesteśmy na drodze do społeczeństwa bezklasowego, gdzie każdy z nas będzie miał wartość człowieczą i będzie się czuł dzieckiem wszystkich piękna jaka było, jest i w przyszłości będzie.

Pieśń zwycięża i buduje, wzmacnia i jest siłą. Żołnierz radziecki pod Stalingradem, Moskwą, Kurkiem i pod Berlinem miał tę samą na ustach piosenkę masową, śpiewaną na całym froncie walki i ona pomagała najmocniej opancerzone dywizje zgruchotać. Nasi rewolucjonści szli pod zabudzenie za rządów cara i za sanacją pod mur z pieśnią ludu pracującego na ustach.

Kiedy za sanacją dziecko chłopiejskie i to dziecko bogatego chłopka mogło ukończyć tylko cztero-

oddziałową szkółkę a farnskie musiałoby obyć się bez szkoły, dziś te dawniej pogardzone dzieci, bezrolnych, małorolnych i dawniej dworskiej służby po ukończeniu siedmioletniej szkoły podstawowej idą do szkół zawodowych i gimnazjum. I to właśnie decyduje o przewadze nowych poglądów i dążeń. Dziś taki szesnastoletni młodzieniec lub dziewczyna uczęszczająca do gimnazjum, umie własnym rodzicom wyjaśnić absurdalność zabobonów, przesądów i podsuwa im realne prawdy o życiu. Będmy też pewni tego, że ta młodzież dziś nie nadstawia ucha płytkim i „tustym” piosenkom na starą modę, szukać będzie pieśni pięknych i czeka na takie.

Przed wojną, gdy nasza ludz i bez szkoły chodząca młodzież poczęła przyspiewywać „piosenki” to trzeba było uszy zatykać i usuwać się, bo wstyd człowieka ogarniał. To samo było z przechodzącymi żołnierzami przez wieś. Dziś jak wiemy i w wojsku naszym jest inaczej. Żołnierz z ludem a lud z żołnierzem i bez wątpienia ta sama umasowana piosenka będzie lubiana tak samo przez cywila jak i żołnierza. Dziś pieśń wyrażająca naszą walkę i trud jak fala rozleje się po kraju. Dziś gdy mamy tyśiące świetlic robotniczych szkolnych i pozaszkolnych, świetlic gromadzkich, świetlic PGR i świetlic spółdzielni produkcyjnych, gdy mamy w kraju liczne chóry i koła śpiewawcze, liczne orkiestry robotnicze i wiejskie, potężną prasę rozchodzącą się w kilku milionach egzemplarzy, gdy gazeta na wsi stała się chlebem codziennym, gdy wieś nauczyła się czytać i już inną nie będzie, gdy mamy zwycię-

setki tysięcy głośników radiowych.

Po pobycie w Stanach Zjednoczonych przez ćwierć wieku, dziś uprzytamniał sobie jak burżuazja amerykańska używała wszystkich środków, jakimi rozporządzała do umasowania pieśni, ale jakiej pieśni? „Wujek Tomasz wasy ma”, „Katarzyna krepi się i krepi”, „Kochana pocałuj mnie”, „Bananów nie mamy dziś”. Same tytuły tych piosenek świadczą, czym one były — trucizną dla mas.

My w kraju demokracji ludowej nie mamy powodów do robie-nia imitacji kultury. Kulturę naszą będziemy udoskonalać tak samo jak i każdą dziedzinę naszego życia. Dlatego też i pieśń będziemy taką umasować, która buduje, bogaci nas o nowe treści ludzkie, o treści człowieka socjalizmu.

Seweryn Skulski

W poprzednim numerze

Bronisław Poletur — Historia jednego kołchozu. Leszek Bakula — Narodziny przyjaźni. Jan Koprowski — Nowa Łódź. Tadeusz Orlewicz — Ubożenie farmerów w Stanach Zjednoczonych. Jerzy Wacziński — O młodzieży. Władysław Udalski — Poemat o ZWM. Ryszard Jędraszczyk — Płomień czerwonych krawców. Tadeusz Szewera. — Notatki o skupie zbóż. Leokadia Kosiniak — O kadrach artystycznych. Jan Jelonek — Jak walczyliśmy z chorobą. — P. Ch. — Gospodarze pole walki i Kampania świetlicowa. Bronisław Chęciński — Praktyka klubu „Przełom”. Tadeusz Gloger — Pieśń radziecka. Zdzisław Kunicki — W Warszawie pokój Edward Sękowski. — Ważki polityczne. J. Błażewski — Spółdzielnie produkcyjne Bułgarii. K. Wyka — Konserwatorzy „Nedzy galicyjskiej”. K. Michalik Nedełkowicz. — Dobromieszczańska epopeja. Samuel Sandler — Wobec socjalizmu. Leszek Bakula — Wioska róża. Bronisław Girtle — Niemili i niekochani.

GERD SEMMER*)

W ODPOWIEDZI RUDOLFOWI LEONHARDOWI*)

Żyjemy w takim świecie, gdzie się znów samemu
czyści buty i szuka przeróżnych wybiegów
dla zdobycia kawałka chleba i garsteczki
ziemniaków i drewniek na jedną rozpałkę.
Żyjemy w świecie dziwnie trudnym i zawiłym
I śledź, proszę, uważnie, gdzie on nas zawlecze.

Lecz nieprawda, że ożisiał w tym niełatwym świecie
zamieszkuje wyłącznie nędza, krzywda, głód —
mieszka tu i nadzieja —

a wiem, że realna —
gdz uniwersytety utartych gościńców
i gorzkie audytoria koszarowych placów,
pola bitwy i lagry wydały rocznik
absolwentów gruntownie już dziś wykształconych.

Człowiek, co śmierć przetrwał jak swój chleb powszedni
jest już inny niż kiedy pod butem kaprała
czyścił śliskie latryny szczoteczką do zębów.
Kobieta, której dziecko w czasie mroźnej nocy
wyrzucono przez okno wagonu, ponieważ
nawet myśleć nie można było o pochówku,
gdyż jak ziemię wycościć spod pancerza śniegu —
— ta kobieta jest dzisiaj już inna niż wtedy,
gdy w ogonku stawała rozegzaltowana
sukcesami ożra.

Głód, mróz, lzy wylane
otworzyły nam oczy i dziś już nam bliska
wymowa tego zdania: Człowiek człowiekowi
nie powinien być wilkiem i nie może człowiek
cierpieć zimna i głodu w rozgwieżdzone noce.

Patrzyliśmy, jak jęcy grzebią w stertach śmieci
Byliśmy obojętni, dziś sami grzebiemy —
Prawdę rzekłszy, nie wszyscy. A ci, co nie grzebią,
mówią, byśmy szli bić się „za honor ludzkości”.
Sądzą pewnie, że jeszcze zbyt płytko grzebiemy.

Widzę ludzi, co palą pszenicę na pniu
i topią w morzu kawę i wagony mięsa
psom rzucają i widzę dokoła plotkarzy,

*) Gerd Semmer — student Uniwersytetu w Marburgu (Zach. Niemcy).
Poeta wyraźnie lewicowy, jakkolwiek ideologicznie nie dość jeszcze skry-
stalizowany. Droga dojrzewania ideologicznego w kraju, gdzie polityka
kulturalno-wychowawcza znajduje się w ręku wroga klasowego jest rzecz
jasna trudniejsza, stąd przejściowe niekonsekwencje ideologiczne w twór-
czości debiutującego poety.

WALTER PÜSCHEL

WEZWANIE

Towarzysze!

Wasze zgrubiałe ręce już dziś nie są puste.
dość dużo dźwigają wasze poździerane ręce.
Uśmiechy waszych dzieci,
lzy waszych matek,
ironiczny grymas rodowego patrycjusza —
to wszystko ujęły dziś wasze ręce.

Wasze ręce są szumiącymi lasami,
donośnym krzykiem lagrów,
mieniącą się w słońcu rybą,
kolem, które muska asfalt.
Detonacja, która zmienia sylwetę skał
także spoczywa w waszych mocnych rękach.

Jesteście kowalami,
silnymi kowalami innego życia,
kowalami życia.
Czyż znacie tą ożywiającą siłę,
która się w was ocknęła?
Siła płodnych matek
tkwi w waszym dumnym spojrzeniu,
w rysunku traserskim na świecącej blasze,
w ufnosci dla splekanych rąk,
w ufnosci dla jasnego czola.

Towarzyszu!
strzeż się uśmiešku węża —
strzeż się, ponieważ pełza on po brudach
i dostrzeż jedynie śmiecie.
Nie wciąga w płuca świeżego oddechu
i nie podziwia stalowych konstrukcji
i nie pojmuje treści epickich zmagani.
Życie jego jest prochem
i śmierć jego tylko proch rozmnoży.

Towarzyszu!
rozkaz sobie twarde:
będę czujny.
Jeśli dotrzymasz,
zwyćwysz.

przeł. T. Chrościelewski

NIE można być zwolen-
nikiem pokoju, jeżeli
traktuje się wojnę jako
nieunikniony los. Zwo-
lenkiem pokoju można
być wtedy tylko, jeżeli
do głębi zrozumie się, że zarówno
pokój jak i wojna jest ludzkim dzie-
łem i że zawsze można uniknąć woj-
ny, jeżeli tylko ludzkość postąpi się
z wazką wolą w tym kierunku...

Namietne, gorące słowa apelu Jo-
hannesa R. Bechera, przewodniczą-
cego niemieckiego „Kulturbundu”,
zwrócone do intelektualistów na II
Kongresie Związku, trafiają w nerw
centralny zagadnienia współczesnej
twórczości demokratycznych Niemiec.
Naczelnym zadaniem antyfaszystows-
kich pisarzy stało się po upadku
hitlerizmu wyjaśnianie społeczeń-
stwu istoty wojny i pokoju, ich źró-
deł, funkcji historycznej i udziału
człowieka w procesie ich rozwoju lub
zaniku. Alexander Abusch, znako-
mity historyk i publicysta antyfaszy-
stowski Niemiec, na tym samym
Kongresie Związku dla Demokratycz-
nego Odrodzenia Kultury Niemiec
w następujący sposób scharakteryzo-
wał wezwanie problemu nowej litera-
tury niemieckiej:

„Punkt pierwszy: walka przeciwko
wierze w nieuniknioną wojnę. By-
łoby największym niebezpieczeń-
stwem dla naszego ludu, gdyby pró-
bowano mu sugerować nieuchronność
trzeciej wojny światowej, gdyby na
skutek tego zaczął wierzyć w wojnę
jako w ślepe fatum dziejowe. Dlate-
go specjalnym zadaniem przewodni-
ków „Kulturbundu” jest prowadzić
nieubłąganą walkę przeciwko tym,
którzy torują drogę wojnie i pokazy-
wać, że wojna to nie żadne fatum,
mystyczny los, lecz zjawisko organi-
zowane przez człowieka, przez kon-
kretnie określone siły społeczne, a
mianowicie żądnię ekspansji koła mo-
nopolów i kapitału finansowego.

Punkt drugi: walka przeciwko
wszelkim ideologom, które dla-
wią wole naszego ludu dla wyzwolenia
społecznego i kształtowania twór-
czych sił pokój.

Punkt trzeci: Walka o natychmi-
astowe ograniczenie zbrojeń...” itd.

Wszystkie dalsze punkty wypły-
wają z dwóch pierwszych, stanowią ich
rozwinienie i uzupełnienie. Wykła-
daniem całego przemówienia Abuscha
jest konieczność bezwzględnej, naj-
surowszej rewizji dotychczasowych
światopoglądów, dogłębną, nieubła-
ganą analizą sił, które wtrąciły na-
ród w przepaść, niezmordowane
wzmocnienie dźwigni, które pozwoli
narodowi wydobyć się z jej dna.

Pisarze niemieccy nie szczędzą swe-
mu narodowi oskarżeń — poto, że-
by go zmusić do samokrytyki, nie
szczędzą najboleśniejszych uderzeń,
byłoby tylko wzmocnić czujność w bu-
dowie nowego życia. Nie są jednak
tylko oskarżycielami — z niemi-
niejszą pasją i docieklivością potrafią
doszukiwać się „dzisiejsiu sprawie-
dliwych”, aby dać świadectwo tym
siłom, które stały się złącznikiem Nie-
mieckiej Republiki Demokratycznej,
zaczynem rewolucyjnej przebudowy
Niemiec.

Taki jest w najogólniejszym zary-
sie program twórczości antyfaszy-
stów niemieckich: z jednej strony
ujawnianie wszystkich elementów
wstępnego w historii, polityce i kul-
turze Niemiec, jako czynników, które
utorowały drogę Hitlerowi — z
drugiej — pokazywanie tych sił, które
walczyły i niekiedy zwyciężyły w osamo-
tleniu i beznadziejności z hitleryst-
mem, po to, aby wzmocnić stoker-
nie po wojnie przez pomoc Związku
Radzieckiego, panując tu nad sytu-
acją, zwalczać do ostatka pozostało-

ZOFIA RZEPLIŃSKA

PIEKŁO HITLERYZMU

ści faszyzmu, oczyszczając teren pod
pierwsze rusztowania demokracji.
„Każdy umiera w samotności” (*),
powieś napisana po wojnie, jest ar-
tystycznym udokumentowaniem ide-
ologicznej decyzji jej twórcy: Hans
Fallada pisarz, który nie emigrował,
który nie walczył w podziemiu bře-
ciwku hitleryzmu po wojnie opo-
wiedzał się po stronie obozu rewolu-
cyjnego. Został aktywnym członkiem
Związku dla Demokratycznego Odro-
dzenia Kultury Niemiec; wraz z in-
nymi walczył o urzeczywistnienie ha-
sła przebudowy społecznej i ideologi-
cznej swego narodu, zdecydowanie
i konsekwentnie odcinając się od mira-
żów amerykańskich neofaszystow-
skich pokus płynących z Niemiec za-
chodnich.

Wnosząc z ogólnej postawy świa-
topoglądowej Fallady w tym okresie
i zasadniczej koncepcji fabuły, utwór
p. t. „Każdy umiera w samotności”
miał być jeszcze jednym fragmentem
wielkiego obrachunku niemieckich
antyfaszystów z dziejami własnego
narodu, namietnym oskarżeniem hi-
tleryzmu, ukazaniem rozkładu naci-
zowskiego społeczeństwa zakażonego na-
zistowskim bakcylem. Miał być rów-
nież próba jakiejś mikroskopi-
ułamkowej rehabilitacji upadku Nie-
mieć, próba obciążenia szali przeciw-
nie zbrodniom, szali cierpień, mąk,
walki, pokuty, próba przebiecia wyio-
mu z impasu hitlerowskiego „tysiąc-
lecia”, nakreślenia przejścia ku świa-
tułi przemian, zaszczerpiecia ufnosci
dla nowych perspektyw narodu nie-
mieckiego. Próba zawadła. Drugo-
gocześnie oskarżenie Fallady przytacza
swoim patosem, ale wymierzone śle-
po, chybła celu, nie wyciąga winnych
na światło dzienne. Po stronie wal-
czących mężczyznów nie ma tych,
których krystalicznie-jasno sformu-
lowany program rewolucji uprawniał
do pertraktacji z historią. Obraz no-
wych możliwości dla społeczeństwa
Niemiec jest niewyraźny, zamazany:
brak mu podkładu, ram, tła i per-
spektyw. Euklidyśny oledruk, idyllic-
zna sielanka w miejsce przejawu
zwykłego ścierania się sił poste-
powych z siłami wstępnymi.

Przyrzeczmy mu się z bliska. Ku-
no, przybrany syn Ewy Kenschaeper,
wybiera się do miasta po nowy pług.
Czytelnik jest wprawdzie rozczu-
lony serdecznym stosunkiem, panują-
cym między nim a matką, do głębi
przejęty moralnym odrodzeniem
chłopca. Obraz dobrobytu wydaje się
przebiegiem dla tragiczne prze-
słuszną nagrodą za tragiczne prze-
życia Ewy i bolesne dzieciństwo jej
przybranego syna. Pogodne perspek-
tywy przyszłości napełniają otuchą
i zaufaniem. Zaufaniem do czego lub
do kogo? Oczywiście do losu, który
pozwolił chłopcu zająć dobre
ziarno, które oczekiwać teraz dobrego
plonu. Mądry los — można śmiało
na nim polegać.

Groteskowość ostatniego zdania by-
najmniej nie ma na celu taniego
i niewczesnego ośmieszenia powieści
napisanego zresztą z bezspornym ta-
lentem. Wzmianka o mądrości, o lo-
su — zdanie, które właściwie nie
znaczy — jest odpowiednikiem po-
ważnej luki w koncepcji utworu, lu-
ki, która powoduje pęknięcie ideolo-
giczne idące wzdłuż i w szerz reali-
zacji pomysłu artystycznego. Zacz-
nijmy udawadniać ten sąd od końca,
choćby od tej właśnie idylli Ewy

pasibrzuchów, niebieskie ptaki, strojne lale
i wielu słabeuszów — cóż, że dobrej woli.
I widzę starców, dzieci, kobiety żyjące
w jamach, w mazi gliniastej. Wciąż się czegoś boją,
a wszystkie drzwi przed nimi dokładnie zamknięte.

W domu mojego ojca jest wiele pokoiów.
Wiatr tylko po nich brzęczy. Urzędnicy
utrudniają, w czym mogą. W istocie
rządzi tutaj wszechwładna obojętność.

Po obłokach wodzimy osłupiałym wzrokiem,
skąd ma przyjść dla nas pomoc.
Ale kiedy? dla kogo, Czyż ma tamto szczęście
przypaść w dziale każdemu jak ciasto z jarmarku?

Są tu ludzie zdradzeni, wyrzuceni z pracy,
gdyż im nagle warsztaty zamknięto ukradkiem.
Są tu chorzy, ułomni, ranni, opuszczeni...
— Zaradz sobie, a Bóg ci pomoże.
Jest tu zbrodnia i jawny cynizm.
Wieczorami królują kastety.

Widziałem tu trzęsące się ludzkie zwierzęta
i słyszałem zawodzenie oszalałych
i teraz wiem już, że chłód
rozrasta się w miarę omdlewania
i pytam się, gdzie nas ten świat zaniesie?

Jakiż to dziwny świat, w którym nam żyć wypadło
i w którym z taką werwą czyści się kamazę,
choć nie zawsze wiadomo, dokąd się w nich pójdzie...
rano, w południe, wieczorem...
i pod jakim łóżkiem będą stały.

I pytam się, gdzie nas ten świat zawlecze?
Ale wierzę i wierzę popierają fakty,
że uniwersytety utartych gościńców
i gorzkie audytoria koszarowych placów,
pola bitew i schrony lotnicze i lagry
nauczyły cośkolwiek i ten świat zmienimy.

Nikt nie wie, czy się człowiek naprawdę poprawi,
lecz to pewne, że aby tak się stało,
ten świat musimy zmienić.

*) Rudolf Leonhard — czołowy działacz Związku Wolnej Młodzieży Nie-
mieckiej, publicysta, członek kol. red. tyg. „Sturm”.

i Kuno, którzy zaszli dobre ziarno

i którym los błogosławi.
Hans Fallada mówi o nich: „Tak
ładnie się dorobili: ojciec, matka i on.
Nie są już zależni od krewnych, w
zeszłym roku dostali ziemię, są sa-
moświeciami” — „konie, krowy,
świnia, dwoma baranami i sie-
dmicmą kurami”.

Ale Fallada wie, że ta ziemia nie
spadła z nieba, tylko dostała się w
ręce biedaków dzięki reformie rolnej.
Wie również, jak epokowym był ów
fakt pozabawienia podstaw ekono-
micznych junkierskich obszarów,
warstw, która stanowiła trzon klasy
dążącej do wojen, trzon tępoty prus-
kiej, podstawę militarnego kultu-
stwa, źródło nienasyconych ekspansji
„gegen Osten”. Ta ultra-reakcyjna
warstwa została zdławiona a ziemia
oddana tym, którzy ją sami upra-
wiają. Bezdolne i matorne masy
chłopskie dopiero teraz dzięki prze-
mianom demokratycznym poczuły się
gospodarzem na własnej ziemi i ten
związek przyczynowy stał się niesły-
chane dosłownym czynnikiem w
kształtowaniu ich świadomości spo-
łecznej i politycznej. Odpadł moment
reakcyjnego przewodnictwa na wsi:
dźwignia rozwoju dobrobytu stała się
przemiany ustrojowe — w tym więc
kierunku zaczynają się zwracać o-
chłopskie, szukające wyjaśnienia dla
zjawisk społecznych. Stąd właśnie bi-
je źródło ideologicznego postępu nie-
mieckiego chłopca, który, ogupiany
dotychczas przez panów „von” i „zu”,
zaczyna rozumieć sens swego bytu
i swoje prawa wobec historii. Autor
kwituje te wszystkie sprawy senten-
cją niemal biblijną: „Bo kto siewie,
ten zbiera, a chłopak zasiał dobre
ziarno”.

Brzmi to wprawdzie wzniośle, ale
zgola nie — historycznie i na tym
właśnie polega niedostatek dojrzalo-
ści ideologicznej Hansa Fallady, z
którego oczu, nawet tak intensywna
„terapia”, jak doświadczenia hitle-
rowskiego okresu, nie zdjęły drobno-
mie-zcząskiej katarakty t. zn. aper-
cepcyjowania rzeczywistości bez do-
strzegania jej istotnych elemen-
tów konstrukcyjnych, sił napędo-
wych, etwarzających taką właśnie a
nie inną fragment historii.

Ta nieznośność praw rządzących
mechaniką dziejów odbija się, jak
już zostało powiedziane, na całej
strukturze powieści. Fallada oskarża
reżim hitlerowski. Mówi o nim z jak
najbardziej szaloną nienawiścią, na

jaką tylko antyfaszysta może się
zdobyć. W rezultacie otrzymujemy
obraz istotnie jakiejś potwornej apo-
kalipsy: otchłań zięjąca zbrodnia.
Ale co dalej „szary człowiek”, Fal-
lada — co daje nam ten obraz dla
zrozumienia „przeżycia”? Powstała
i utrwalenia się hitleryzmu? Jakie
wskazówki daje tym, którzy chcą
wyciągnąć wnioski ze straszliwej lek-
cji historii? W jaką stronę każe
zwracać się po ratunek? Jakim si-
łom wyznacza rolę przodującą? Do-
konajmy pobieżnego przeglądu wat-
ków fabularnych powieści dla prze-
śledzenia choćby w najogólniejszych
zarysach metod pisarskich Fallady.

Przedewszystkim zaskakuje nas
pewien uderzający brak: w powieści,
której osnową jest sprawa hitleryz-
mu nie ma ani jednego hitlerowca
z prawdziwego zdarzenia. Persieko-
wie, komisarz Escherich, przewodni-
czący Sadu Narodowego Fleisler, ko-
misarz Laub, Oberguppenführer
Prall nie należą do grup zasadni-
czych ludzi, za sprawą których istniał
hitlerizm. Ta, dość ciekawa i bogato
rozróżniona wazanka lotrów spod
ciemiennej gwiazdy, reprezentowała ty-
ko siły policyjne hitlerizmu, grupę
bardzo specyficzną wprawdzie, ale
niezwykle centralną. Sfora psów
wypuszczonych z łańcucha nie pre-
tenduje w żadnym wypadku do roli
gospodarzy rządzących domem — przy
największych talentach gończych, po-
staje zawsze jednak tylko psiar-
nia. W wyniku hitlerowskiego pań-
stwa, ukazany w powieści Fallady,
nie widzimy gospodarzy, fabuła kre-
ci się dokoła wrzasków Persiecków,
wrzasków Eschericha i wrzasków in-
nych skolei Fleislerów lub Laubów.
Mogłoby się wydawać, że to oni wła-
śnie reprezentują główną podstawę
hitlerizmu. Błędem jest niesłycha-
ny nacisk, jaki autor kładzie na ich
stylu zachowania. Wraca wciąż z ta-
kim uporem do istic bestialskich ma-
nier swych bohaterów, jakby chciał
w ten sposób podkreślić pewną isto-
tną cechę całego zagadnienia. A prze-
cież, gdyby nie mieli zwyczajny wy-
cież i znieść się nad ofiarami podczas
przesłuchania, niby się przez to w
hitleryzmie nie zmieniło. I w ogóle
nie o to chodzi. Hitlerizm nie pole-
ga na wrzaskach wyżej wspomnia-
nych Prallów i Laubów, w ogóle nie
polega na nich — nimi się
tylko posługiwali, należało
więc te proporcje przedstawić jakoś
w powieści. Tymczasem czytelnikowi

kręci się w głowie podczas czytania
od ryków hitlerowskich naganiaczy,
ale z ich praktyk nie rozumie nic,
lub prawie nic: jakie są ich źródła,
jakie motory społeczne powodują ni-
mi, jaka klasa dzierży tu siłę? Ja-
kim sposobem dostała władzę w swe
ręce, jaka klasa stanowi dla niej
przeciwwagę, gdzie spietrza się kon-
flikt itp.

Nawet najbardziej dyskretna alu-
zja nie prowadzi czytelnika na ślad
mocodawców krwawej roboty hitle-
rowskich speców od katowania. Tru-
dno się więc domyślić, że hitlerizm
nie polega przecież na furach zwy-
rodnaków, bo z tymi nie tak trudno
byłoby sobie poradzić, lecz że za ni-
mi stoją koła monopolistów, sojusze
funkrów i armii z wielkim kapitałem.
Przedstawiciele tych warstw komple-
tnie zabrakło w powieści — tak jak-
by nie istnieli, tak jakby nie było
imperializmu niemieckiego, a tylko
jakieś mistyczne bestialstwo uposta-
czone w osobach przedstawicieli
gestapo i policji kryminalnej. Oczy-
wiście utwór beletrystyczny nie musi
spełniać postulatów rozprawy polity-
cznej — niemniej podstawowe za-
łożenia metody realistycznej doma-
gają się właściwej proporcji i hie-
rarchii we wzajemnym stosunku czę-
ści składowych opisywanego zjawis-
ka.

W książce Fallady obszernej, zbu-
dowanej z dużym wyczuciem techniki
kompozycyjnej, tym bardziej razi
brak najistotniejszych elementów za-
gadnienia — zwłaszcza wobec spe-
cjalnie natrętnego, niepotrzebnie po-
wielokrotnie powtarzanego akcentowa-
nia elementów wtórnych. Autor poru-
szając się z imponującą swobodą w
świecie mętów i degeneratów, staje
się zupełnie bezradny w obliczu ja-
kichś społecznych klasyfikacji swych
bohaterów. Rozsypanych szczegółów
nie potrafi włączyć w system, w dia-
lektyczną całość, poddającą się kate-
goriom socjologicznego komentarza.
Fallada widzi ruch i potrafi go opi-
sać z techniką aż męcząco precyzyj-
ną — nie zdaje sobie natomiast
sprawy z mechanizmem sprężyny, któ-
ra ten ruch powoduje. Widzi ludzi
i analizuje ich postępowanie z peł-
nym pasją, czasami wręcz manie-
kim uporem psychologa, ale za tymi
ludźmi nie widzi klas, nie widzi
warstw społecznych, ani grup poli-
tycznych. Zawieszony są pojedynczo
w próżni, zależni wyłącznie od wła-
stnych przeżyć, własnych radości
i dramatów, którymi rządzi pomyślny
lub niefortunny przypadek. Idąc
po linii pisarskiej Fallady, można by
pomyśleć, że gdyby Quangelowie nie
otrzymali wiadomości o śmierci sy-
na, nie staliby się ludźmi miłymi
przeciwko machinie hitlerowskiej, a gdy-
by nie pechowy dzień ich „nakrycia”,
nie powstałoby w ogóle w książce
zagadnienie ruchu oporu w okresie
nazizmu.

Oczywiście, tego rodzaju metoda
podawania wiedzy o zjawiskach spo-
łecznych wąskim kanałem zdarzeń
w życiu jednostki mści się na cało-
ści obrazu. Reakcją po opisie me-
czarni Quangelów, po opisie więzie-
nia, w którym zginął wraz z innymi,
może być groza, litość, przerażenie,
lecz nigdy serio refleksja na temat
ruchu oporu w hitlerowskich Niem-
czech. Gdyby nawet taka myśl się
pojawiała, musiałaby natychmiast ska-

pitulować wobec repliki kontrargu-
mentów ze strony układu fabuły po-
wieści: A więc tak wyglądał sprze-
ciw? Reprezentowany przez dwie
stare, złamane tragedią osobiste, po-
stacie? Zasluguje może na podziw,
ze względu na pewne bezsporne wa-
lory osobiste, lecz nie dające się
przecież absolutnie wzięć pod uwagę,
jako przedstawicieli ruchu politycz-
nego? W tym sensie są raczej ka-
rykatura i tutaj właśnie szczelina
w koncepcji artystycznej Fallady ry-
suje się najwyraźniej.

„Szary człowiek” pełen najlepszych
intencji, ograniczony jest wąskim
polem widzenia drobniomieszczanina.
Spoza portretu widać parodię.
Szczelina staje się jeszcze głębsza,
gdy pisarz ryzykuje przejście na te-
ren, którego nie zna i nie rozumie.
Ukazanie komunistów niemieckich w
charakterze karykaturalnych figur z
gabinetu osobliwości stanowi właści-
wie największe obciążenie utworu.
Znowy rys wielce charakterystyczny:
Fallada nie tylko nie miał pojęcia o
działalności KPD, ale nie umiał na-
wet zdać sobie sprawy, jak głęboko
się myli, pokazując czytelnikom taki
obraz bojowników przeciwko Hitle-
rowi. Tak jak gdzie indziej, pasjonu-
ją go bardziej szczegóły opracowa-
nia technicznego — zwłaszcza jeżeli
to są szczegóły drastyczne — niż
prawdowe oświetlenie danego zja-
wiska zgodne z prawdą historyczną.
Osesek, Grigolet, Truda i Karol Her-
gesell to nie są przedstawiciele KPD!
Prawda, że Komunistyczna Partia
Niemiec w tamtym okresie popełnia-
ła błędy, że była wątła, sekiarska
i słabo zorganizowana, niemniej
przecież reszce bezimiennych boha-
terów walczących w konspiracji od
r. 1933, były światłem w mrokach
nocy hitlerowskiej. To oni, mimo naj-
straszliwszego terroru, potrafili do-
nieść do końca ideę walki z faszy-
zmem, która biorąc z rąk morderwa-
nych, podawali następny, gotowy
z kolei na męczeństwo i śmierć. Ich
to wkład bogato użyczył grunt pod
przemiany demokratyczne w nowych
Niemczech — i nie wolno pisać, o
biorgiemu udział w procesie tych
przemian, nie widzieć istotnych ich
motorów.

Fallada nazwał swą książkę „Ka-
żdy umiera w samotności”, i jakkol-
wiek tragiczną wymowę ma ten ty-
tuł, to bardziej jeszcze tragiczną jest
sprawa ludzi, którzy nie potrafili
się wyłamać z życia i z samotno-
ści. Takich prawdopodobnie miał na
myśli Spinoza, gdy powiedział, że
„człowiek kierujący się rozumem,
jest bardziej wolny w państwie, gdzie
żyje zgodnie z społecznym postano-
wieniem, niż w samotności, gdzie po-
słuszny jest tylko samemu sobie”.

„Autor powieści „Każdy umiera
w samotności” nie sprawia wrażenia,
jakoby był wolny. Na jego twór-
czości wyraźnie odbiło się zwięzienie
świadomości ideologicznej, spętanie
nieumiejętnością społecznego widzenia
rzeczy. Książka jego, wręcz świetna,
jako fragment obrazu pękła hitle-
rowskiego, jako potężna, ostrzegaw-
cze memento, jest jednocześnie świad-
ectwem niebezpieczeństwa, na jakie
narażony jest pisarz, pozbawiony
busoli świadomości klasowej i poli-
tycznej. Mimo gorącej pasji pisar-
skiej nie wyjaśnił przecież Fallada
swą książką prawde żadnego z tych
zagadnień, które twórcom antyfa-
szystowskiej kultury Niemiec wyda-
ły się kluczowe w procesie oddziały-
wania na naród niemiecki.

Zofia Rzeplińska

*) „Każdy umiera w samotności”,
Hans Fallada, „Książka i Wiedza”,
Warszawa, 1950, str. 533.



Tak się znów zaczyna, od policji przemysłowej, remilitaryzacja Niemiec
Zach. przez amerykańskich imperialistów — foto — API

Z W I E L O W S I

WSTĘP

Ludwika Gruszczyńska urodziła się w r. 1890 w tej samej Wielosiu, gdzie urodził ojciec Karola Pięta, k. Fragmenty obu pamiętników sięgają, mniej więcej, do r. 1910, dając obraz ostatniego dziesięciolecia XIX w. i pierwszego dziesięciolecia XX-go na wsi polskiej (w zaborze galicyjskim) w szczególności w klasie malarzów (Pięta) i wyrobników (Gruszczyńska).

Jeszcze ojciec Karola dzierżył wójtostwo. Na to złożyły się osobiste zdolności ale również znaczenie rodu, za dziadów pewnie jeszcze zamożnego, kmieckiego. Karol od dzieciństwa wiedzie już jednak żywot charakterystyczny dla biedoty, służy w dworze, idzie na flis, potem na roboty do Prus. Zatem „proletariusz wiejski”, jak nazywa ojca Stanisław Pięta. Czy tak długo naprawdę? Rodzinie groziła dalsza deklaracja, rozdzielanie ziemi, ubożenie. Ale rodzina broni się przed rozpadem. Jeszcze ojciec Karola, sześciomorgowiec na dobrej ziemi trzyma się w ocenie ekonomicznej bliżej średniaków, w ocenie społecznej, jako wójt, bliżej arystokracji wiejskiej, bogaczy.

Jeszcze można „planować” losy. Karol i drugi brat będą dziedziczyć, przez małżeństwo dopełnią gospodarstwo, a dalej niech szukają drogi do rozrostu i okrzepnięcia gospodarstwa. Trzeci brat — do szkół, celowo. Mógł tłumaczyć zjeżdżającą edukację ale i jemu to się opłaca i rodu. Karol po ojcu bierze dwa morgi i budynki, za żonę trzy morgi. Po formalnościach, po flisie, po „saksach”, „gospodarz na 5 morgach... zakasaj rękawy, żebyś był kimś na świecie!” To nie była droga proletariusza ani jego świadomości, to była zacięta obrona przed proletaryzowaniem i przed klasowym wiciwaniem wsi z tej pozycji. Dlatego z programu ks. Stojałowskiego zrozumiał i zapamiętał jedno: „szukać chleba zagranicą, kiedy nie wystarczą żagony ojczyzny”. To mu „zaimponowało”, jak wspomina. Dlatego w jego pamiętniku (we fragmencie drukowanym) nie ma nawet ubożnej charakterystyki własnej klasy, nie ma — biedoty przy wiciwaniu, rozłożeniu akcentów w tym zestawieniu — przecież nie statycznym a w ruchu tragicznej walki klasowej.

Kiedy Gruszczyńska wychodzi za mąż w r. 1910 mając 20 lat, rok wcześniej Karol Pięta, od lat żonaty, chłop już po czterdziestkę wyjeżdża do Ameryki. Nie z nędzy, nie z ostatecznej konieczności. Zakręgał gospodarstwo, ale zaciągnięta po-

życzka grozi załamaniem tej ulepszonej pozycji, a więc do Ameryki po złote runo. Jest tu i dodatkowe bodźce. Gruszczyńska pokazuje, że w latach 1900 — 1910 zaczęły się na wsi zmiany „nieco na lepsze”. To wsi zmiany, „nieco na lepsze”. To znaczy ugruntował się kapitalizm, ekonomiczne formy jego organizacji produkcji na wsi i handlowej ekspansji. Jest kasa Stefczyka, sklep Kółka Rolniczego, koszykarnia, pisma ludowe, patronatwo endecji, świetlicowy ruch młodzieży. Pisaliśmy już nieraz, że z groźb komornic i bandosów w kasie Stefczyka pożyczki zasobne brać mogli ci, których stać było na oddanie. Wspierały one bogatych gospodarzy, podobnie jak ich spółkowy sklep, jak kółko rolnicze. Endecja torowała im we wsi azyl, paraliżując klasowy opór i nienawiść biedniaków. W tej atmosferze skok Karola Pięta, za ocean miał za przyczynę ambicję, do jakiej pobudzał kapitalizm gospodarzy o większych szansach.

To u Gruszczyńskiej, z domu wyrobników, wyraża się klasowo inne stanowisko, mimo, że i ona osadziła się na stosunkowo pomyślnej pozycji — wiejskiej krawcowej. Jej charakterystyka wciąż akcentuje rozwarstwienie wsi na: bogaczy i biednych oraz zależność tych ostatnich, ich poniżenie, spychanie, wykorzystywanie. To u niej jest zauważony rok 1909. Bo rewolucja 1905 r. w Królestwie Kongresowym wiązała się z jej klasowym losem, tak jak dla Karola Pięta znaczenie strajków i walki proletariatu nabrało wagi dopiero w Ameryce, dokąd przyjechał, aby za powrotem stanąć w rzędzie pierwszych gospodarzy w okolicy.

I tam to dopiero odczuł, że wypadnie mu się „zakopać w jednej z takich fabryk, gdzie świat o mnie nie będzie wiedział”, gdzie „znaleźliśmy się jako pionki wśród tysięcy pracujących robotników”. Oto była edukacja ks. Stojałowskiego. Robotnik — pionek, człowiek, o którym świat nie pamięta... bo w kapitalizmie, bo na obczyźnie.

Czytamy te pamiętniki w szóstym roku Polski Ludowej, kiedy od lat obalony kapitalizm, kiedy robotnik nie na obczyźnie, a w kraju, w władzy, kiedy w sojuszu chłopsko-robotniczym wieś odnajduje i wchodzi na JEDYNĄ DROGĘ SZCZĘŚCIA I SPRAWIEDLIWOŚCI DLA WSZYSTKICH. Niech nam te pamiętniki pomogą wymierzyć odległość w czasie i przemianach na wsi polskiej.

Piotr Czumara

no mu różne kołysanki. Niektóre z nich pamiętam jeszcze:

Usnij ze my, usnij,
albo my urosnij,
Mozes sie my przydać
gąsiki w pole wygnąć.

Jak wygusn gąsiatka,
przyjdiesz po ciętka,
oj, jako to posługa
z malego dzieciątka.

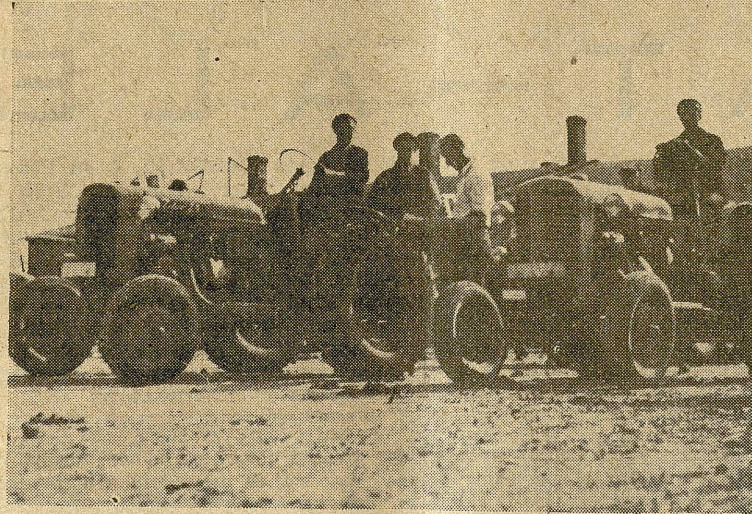
I jak śpiewali, tak robili, bo już od czwartego roku życia musiał dziecko gęsi paść. Była to jeszcze dla dzieci najlżejsza robota. Większe musiały już pracować dużo ciężiej. Najcięższą pracą było mienienie w żarnach. Cóż to była za męka obracać dwa kamienie oboma rękami! Pot aż oczy zalewał. Nieraz się kładł chędo, za co mnie moja babcia karmiła:

A nie przeklinaj, jucho, bo sie musis z tego spowiadać.

Dziecko wiejskiemu nigdy się świat nie uśmiechał. Zgnębione bieda, pracą nad siły, nie tylko, że nie miało za wiele do jedzenia, ale jeszcze musiało przestrzegać postów, nakładanych przez księży. Miesia i tak się nie widywało, chyba że gdzieś komuś zdechła krowa albo zlała noga, to ja dorżnięto i rozsprzedano. Nakazywano jednak post od nabałtu, w wielkim poście zaś w środy, piątki i soboty nie wolno było napić się nawet serwatki spod owarzanego na ser mleka, bo i z tego trzeba było spowiadać.

Dziecko wiejskie właściwie nie znało dzieciństwa. Gdy już wyszło obstruktane ta kolibka i — jak mu wypiekały — poszło do tych gęsi i tych cięlatek, tak przy nich nieraz pozostawało i marnowało się, mimo że nieraz było zdolne i garnało się do nauki. Jednak przysłówowa bieda z nędzą nie pozwalała rodzicom na kształcenie choćby jednego dziecka.

Zas bogaci chłopcy nawet nie umieli użyć swego bogactwa. Rozleniwieni, bo najemniej na nich pracowali, zaniechali gospodarstwa i całymi dniami wysiadali w karczmie przy wódec. Raz, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, szłam z dziadkiem do karczmy. Dziadek chciał mi kupić cukierków i weseliśmy tam. Karczmarz trzymał wódkę w naczyniu blaszanym mogącym mieścić ze czterech litrów. Przy tym naczyniu był przyrząd do łańcuszku ze blaszanymi półkwaterkami, nazywanym „buksem”. Taki buks kosztował 5 centów. Co chwila któryś z pijaków wpuszczał takiego bukusa do blaszaka z wódką, a karczmarz tylko wódkę dolewał. W ten sposób niejedną piątkę przepijał nawet pole, a szacherem z obliczaniem długów i procentów nie było końca. Gdy wtedy weszłam tam z dziadkiem, jego sąsiad Władek Gluch był już tak spity, że co chwila upadał na posadzkę ułożoną z czerwonej cegły. Miał rozbity nos i czło, ale coraz się podnosił, przytrzymując się sztachet, którymi był ogrodzony szynkwias, brał znowu do ręki bukusa



Odprawa w POM Nr 33 Lwówek przed wyruszeniem traktorów do pracy.
foto — WAF

LUDWIKA GRUSZCZYŃSKA

BYŁA WALKA

(Fragment pamiętnika)

i pił dalej, przyspiewując sobie zachrypniętym głosem:

O Jadwigo ty moja
oj, ty moja Jadwigo,
oj, czy ty nie widziałaś
mego bycia krasnego.

Bodaj żeś ty skapiot
coś my kunia ziaopot.
Com jo się nachodził
z tych gospodarzy w okolicy.

Potem sobie przypnął i upadł pod ławkę. Podszedł mój dziadek do Gluchowej.

— Kumo! kumo! a idźcie po Walkę, bo w karczmie pod ławką leży, pysk i łeb rozbił!

— A niech zdechnie. Nie pude, nie pude!

I Walek spał pod ławką do rana.

Miałam może osiem lat, kiedy zaczęły po wsi chodzić jakieś wiadomości, że po wsiach wędruje ksiądz i naucza chłopów a władze i żandarmi go przesładowują. Jednego razu grupka dzieci z naszych chałup, i ja z nimi, wygnaliśmy swoje stadka gęsi, aby je popasać na rowie przy drodze. Trzeba to było robić ukradkiem, by drożnik nie dojrzał.

— Pasta, pasta — mówiła do nas sąsiadka Czechowa — a ino uwolizta! Jakby drożnik sed, to uciekajta, bo by i wos i gęsi zajon!

Było to wieczorem. Nagle jedno z dzieci dojrzało zdaleka jakąś ciemną postać, zbliżającą się ku nam.

— Drożnik! — krzyknął jeden z chłopców i wszystkie wystraszone zaczęły uciekać z gęmi, gdzie się dało. Ja, najmniejsza z nich, ledwie zdążyłam wpędzić gęsi na wodę przyśladam na kupce kamieni, ciekając ze strachem, że drożnik zajmie mnie razem z gęmi. Wytrzeszczonymi oczami patrzyłam w stronę zbliżającej się postaci. I odetchnęłam. To nie był drożnik, tylko ksiądz. Gdy się do mnie zbliżył, wstałam z kamieni. On mnie pogłaskał po głowie i zaczął wypytywać o nazwisko, dom, w którym mieszkam, szkołę, klasę, do której chodzę. To mnie osmieliło i powiedziałam, że już umiem czytać i pisać.

— A twój tatuś czyta co?
— A czyta książki.
— A jakie czyta książki?
— O Włodysławskim...
— A gazety czyta?
— Czyta.

Nie wiedziałam jednak jakie. Dał mi więc jakąś gazetę i powiedział: — Daj to tatusiowi, niech czyta. A dla ciebie jest tam dodatek. Przeczytaj, jak się ta gazeta nazywa. Przeczytałam: „Wieniec i Pszczółka”.

Potem wyjął obrazek z Chrystusem zmarłym w łonie Maryi i chciał mi go dać. Ale mnie się ten obrazek jakoś nie podobał, bo nie był kolorowy i powiedziałam, że nam ładniejsze.

— Więc powiedz tatusiowi, że ci to dał ksiądz Stojałowski.

Pożegnałam nie ruchem ręki, ja się ukloniłam po szkolnemu i gdy on szedł w stronę Sandomierza, ja biegłam co tchu do domu opowiedzieć o niezwykłym dla mnie wydarzeniu. Było to chyba pierwsze w moim życiu zetknięcie się z działaczem ludowym. Pozostało jako dziecinne wspomnienie.

Bardzo lubiłam naukę. Szkołę u nas prowadziły zakonnice dominikanki jako nauczycielki. Były to ostatnie lata ubiegłego wieku i pierwsze obecnego. W szkole był rygor i dyscyplina klasztorna, wobec niektórych dzieci niesprawiedliwość. Kary cielesne były czymś zupełnie normalnym. Za najmniejsze przewinienie było bicie. Chłopcy bili na korytarzu na ławce stary stróż szkolny Rutynia. Na rozkaz nauczycielki zakonnicy wpadał chłop wsiasty z zataczonym nosem i wyszczerzonymi zębami, chwytając winowajcę za uszy, wyprosił go z klasy i za chwilę rozlegał się rozpaczliwy krzyk chłopca, a my, wszystkie dzieci w klasie, krzyliśmy razem z nim. Dziewczynki były bite przez nauczycielki zakonnice czworograniastą linia, gdzie popadło. Pamiętam, że pewnego razu przejechał inspektor szkolny powiatowy i wtedy kilkoro ojców i matek pobitych dzieci poszło do niego z zażaleniem. Od tego czasu ustało bicie chłopców przez stróża, ale czworograniasta linia długo była stosowana.

W traktowaniu wyróżniano też dzieci rodzinnych bogatszych lub bardziej klerkalnych. Raz pokłóciłyśmy się, zwyczajnie jak to dzieci, z koleżanką, córką takiej klerkalni. Za

córkę obraziła się matka i przyszła do szkoły na skargę na mnie. Na środku klasy stała Gierka Trełina, baba brudna jak ciemna noc, w butach z cholewami aż zielonymi od gnoju, spod sterczącej na opasłym brzuchu spudnicy widać było równie brudne kolana — stała i czekała, bo mi ją kazano w nogi pocałować za to przewinienie! Zakonnica biła mnie ową graniastą linia, gdzie dopadła, ale się zacięłam i nie upokorzyłam, czułam za bardzo niesprawiedliwość.

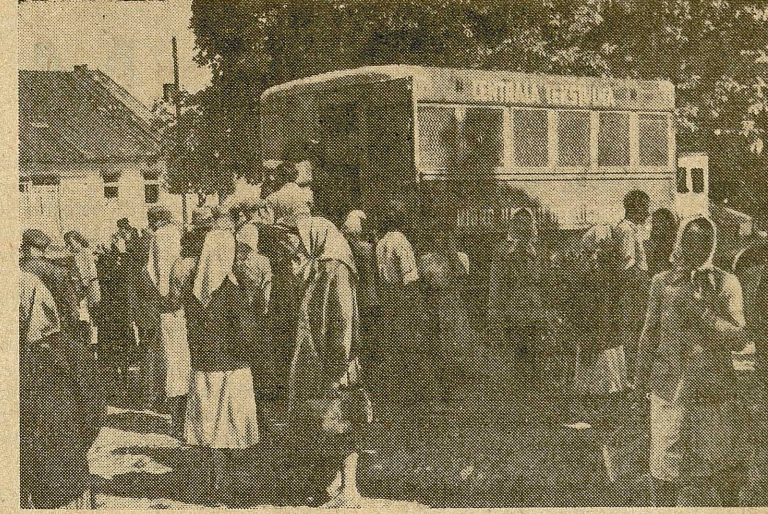
Różnice majątku i pochodzenia odbijały się nawet na uszadaniu dzieci w ławkach szkolnych. W pierwszych siedziały najbogatsze, potem biedniejsze, aż w ostatnich dzieci służby folwarcznej. Zakonnice obok nauki czytania, pisanie, robot i innych przedmiotów starały się wpaść w wychowanków uniżoność i pokorę wobec „jaśnie państwa” i w ogóle możniejszych. Rok szkolny kończył się uroczystością: odbywał się egzamin w udekorowanej sali, wystawa robot ręcznych itd. zapraszano na tę uroczystość wójta, niektórych członków rady gminnej, przyjeżdżali księża, przychodziła „matka wielbna”, przyjeżdżała też hrabina Tarnowska, przed którą zawsze jedna z dziewczynek deklamowała i podawała jej kwiaty. W deklamacji było oczywiście dużo przychlebnych słów o dobrodziejstwach, holdach, łaskawości jasnej pani a nawet byliśmy „my poddani”. Przypadała i na mnie kolej takiego występu, który skończył się gzyztem i ogólną konsternacją. Mianowicie, gdy wybiegłabam tradycyjnie powinszowanie, powstał ówczesny ludowiec, członek rady gminnej i zastępca psta Franciszka Krempla do parlamentu austriackiego, Władysław Ossowski i zaprotestował przeciw uczeniu i zmuszaniu dzieci do wygłaszania podobnych bzdur, wykonywania zdolności dziecka do wzbijania mu w głowę poddaństwa.

Na znak protestu opuścił salę. Zakonnice stały się czerwone jak przysłówowe piwonie, hrabina Tarnowska zimna i obojętna patrzyła na niego, jak gdyby to nie do niej się odnosiło, a ja, biedna ofiara, zneruchomiałam z kwiatkami w wyciągniętej ręce, których nie miał kto ode mnie odebrać. W nagrodę dostałam potem — książkę do modlenia i różaniec. Po skończeniu całej uroczystości pozostali klerkalowie rzucili się do rak pan hrabiny ze współczuciem i przepraszali za obrazę przez niegodnego ludowca.

Tak wychowywano ludzi. Od dziecka był kij, kłamstwo, wyzysk i wódka. Przecież to na były gorzelnie i karczmy, należące do hrabiów i obzarników. Do tego wszystkiego jeszcze obstraszano ich piekłem, spowiedzią i pokutą. Do wielkanocnej spowiedzi trzeba było wykupić kartkę u organisty z pieczęcią parafialną.

Do takiej pokuty wybrała się moja ciotka. Była biedna, na wyrobku, ciężko jej było żyć. Gdy urodziła już dziesięciorgo dzieci, narzekała na swój los, że Pan Bóg o niej zapomniał. Za to ksiądz na spowiedzi zadał jej pokutę: miała iść w nocy o północy na cmentarz chowałny i na środku cmentarza pod wielkim krzyżem odmówić różne pacierz. Było to w zimie. Bała się sama iść i zwierzyła się z tego mężowi. Ten się na to oburzył i powiedział jej, aby nie szła, ale kiedy się uparła, odprowadził ją pod bramę cmentarną i uciekł. Ona sama — jak mi opowiadała — weszła na cmentarz, uszła parę kroków i poczuła, że pot wystąpił jej na całe ciało i spływa po plecach.

— Noc była widna, trochę szara-wa. Nie doszłam do krzyża, opuściły mnie siły, upadłam, bo pod krzyżem kogoś dojrzałam. Nie myślałam o żywym... Ocknąłam się wreszcie, zaczęłam się wpatrywać coraz lepiej i rozpoznałam żywą osobę. Przysunęłam się ku niej i zobaczyłam, że to Halka... moja sąsiadka... i ona do mnie nie mogła się ze strachu odezwać, przeleżała się mnie, gdy usłyszała za sobą moje czaplanie. Odprawiała taką samą pokutę. Po przykleknięciu i odmówieniu zadanych paciery poczułam, że spoczną koszuła zmazała na mnie na kość; ona też na to zaczęła narzekać. Wybiegłyśmy z cmentarza i dyrdymy leciały do domu. Wpadłam do izby całkiem przemarznięta, mój mój mój kłód od głupich wianatek



Centrala Tekstylna skupuje za pośrednictwem swych ambulansów wełnę owczą od ludności góralskiej.
foto — WAF

Mniej więcej w tym czasie, dokładnie nie potrafię określić, ale było to gdzieś między 1905 a 1907 rokiem, kiedy już ta przeprawa ustawała, byłam świadkiem takiego zdarzenia. W czasie zimy — a zaraz za naszymi chałupami rozciągały się szerokie niwy dworskie, które sięgały aż ku Sandomierzowi — zaraz za naszą ścianą wiano pszenicę. Dobięły mnie wesołe pokrzykiwania i śmiechy rozbawionych dziewcząt, moich koleżanek, które pracowały we dworze „na zarobku”. Wyjrzałam zobaczyłam, że wiązały one dwóch mężczyzn powroźmi w snopki. Był u nas taki zwyczaj, że gdy zaczęto wiano zboża, to robotnicy wiazały właściciela lub rządca dla okupienia się. Jednym z tych związanych był zarządca dworu a drugim wysoki, przystojny młodzieniec, który był jego gościem, krewnym czy znajomym, bawiącym tutaj jakoby w przejeździe kilka dni. Wesoły, ubawiony tym wianowaniem, musiał się im okupić. Wstał do nas napić się wody i otrzepać ze słomy. Potem poprosił o pióro i atrament, siadł przy stole i coś pisał do wieczora. Podczas pisania przyglądał sobie od niechcienia: o tak, przyjdzie czas, co będzie nasz. I znowu pisał. Jak się potem okazało, był to rzeczywisty znajomy czy nawet krewny owego zarządcy — Feliks Dzierżyński. Rodzina jego zresztą mieszkała w naszym powiecie jeszcze w okresie dwudziestolecia. Nazwisko to doszło nas jeszcze w 1917 roku, kiedy to jemu przyszedł ten czas, o którym sobie pogadywał.

Czasem się teraz uśmieję złośliwie powiedzenie, że „wymyślono jakąś tam walkę klasową”, że tego niby przedtem nie było. U nas, na wsi istniała ona zawsze i odczuwała się ją na każdym kroku, tylko że się tego nie nazywało walką klasową, nazywało się to: dziód i bogoc. W tych słowach mieściło się wszystko. Bogaty zawsze patrzył z góry i wrogo na biednego. Biedny został zawsze wykpiony, wyszydzony i wyzyskany. W domach bogatych już się i dzieci wychowywało w tym duchu, w pyszałkowatości i zarozumiałstwie: z tym nie mów, na tego nie patrz, bo to dziady. Nawet bójki na weselach częściły wywoływały się z wyszydzenia biednych przez zarozumiałych bogaczy i drażnienia ich, aniżeli z zadrześci o dziewczyny. Zaczynano złośliwymi przysłówkami, a gdy się trafiło, że bogaty synek wziął sobie do tańca biedniejszą od siebie dziewczynę, to matka jego siedząca na ławie koło ściany potrafiła przerwać taniec, wywołać go do sieni i tam mu wygrażać paluchem do nosa. Przeważnie zaś synowie bogatych a pysznych rodziców nie wychyliły nosa poza swoją oborę i zdawało się im, że cały świat stoi na ich żróbku czy kobyle. Odbijało się i to w śpiewkach.

Jeżdem se jo jeżdem
ojcowisty synek
Oj wyjadę jo se
z kurnikiem na rynek.
Ha pod moją kłacą
podkowy kłacę
wczoraj mnie nie chciały
dziś o mnie płacę.
Leciła, gęgała
gąsienka siadła,
ożenił się z tobą
aleś nie bogato.

Dziewczeta też odpowiadały odśpiewkami i też im nie żalowały:

Z twym majątkiem bogocu
powieś sie na srocu
pierw bym oszalała
abym ciebie chciała...
Oj nie chce ci jo nie chce
chłopa bogatego
chłopa ci jo była
kobyła u niego.
Ciagnęłabym brony
oroby mna pole,
nie chce cie bogocu
jo biednego wolę...

Różnice klasowe ujawniały się w każdej dziedzinie, ale otwarcie tego nikt nie napisał. Bogacz nie przeczytał do czytelnika, nie przeczytał gazety ni książki, na cel społeczny czy oświatowy centa nie uroił, a jeszcze wymyślał i wyszydzał wszystkie poczynania społeczne. Na bogaczach opierał się księża i obzarnicy, a biednemu, który nie miał się o kogo oprzeć, do kogo poskarżyć ani nie umiał się zorganizować, zawsze wiał przysłówowy wiatr w oczy.

Ludwika Gruszczyńska

GRZEGORZ LASOTA

POEMATY — ALE JAK I?

N a początku mała poprawka historyczna. Co prawda nie podjęto dotychczas zasadniczej dyskusji związanej z drogami rozwojowymi poematu epickiego — jak zauważyła redakcja „Wsi” zagajając dyskusję — to jednak na ten temat wypowiadali się już oficjalnie niekiedy publicyści i poeci. Nie chodzi tu rzecz prosta o przyczynki, ale o właściwe naświetlenie sytuacji w której kształtowały się po wojnie poglądy o nowym typie poematu. Najbardziej charakterystycznym wyrazem nie zrozumienia kierunku rozwojowego polskiej poezji współczesnej był artykuł Józefa Piątka (?) w numerze 5 (1949) „Wsi”. Autor po przeprowadzeniu krótkiej i powierzchownej analizy dzieł poematu w okresie 20-lecia dochodził do wniosku, że właściwie nie ma do czego i do kogo nawiązywać, a sam poemat nie ma żadnych perspektyw. Piątek pisał:

„I oto w roku 1948 nagle jak z rękawia zaczynają się spływać poematy. Jak wytłumaczyć taki bujny urodzaj? Sądzę, że tzw. hasło uspołecznienia poezji, upolitycznienia jej, wniosło na zbyt wiele treści, które nie mogły się zmieścić w ramach konstrukcyjnych zwyczajów wiersza. Tylko że te nowe wartości okazały się nabytymi dynamicznie. Oszczędność wyrazu poetyckiego zastąpiło słowolęstwem, gadulstwem.

„W ten sposób poetykę Pablo Nerudy wmontowano w technikę Eluarda, połączoną z retoryką Majakowskiego i charakterystycznym dla poezji rosyjskiej ostatnimi czasami ludowym gawędziarskim tonem. Ten właśnie ton ludowości naśladuje Woroszyński stwarzając dysonans między zamierzoną rewolucyjną treścią a przyjęciem zapożyczonego u nas schematu ludowej gawędy...

„Majakowski jest zjawiskiem niepowtarzalnym... I jego wielkość m. in. polega na tym... że jest jedyny. Można się u niego uczyć... żeby zrozumieć na ile odmienną drogą winien kroczyć w naszych czasach poeta, który chce być naprawdę politycznym pisarzem”.

Trudno było naprawdę zmieścić w krótkim felietonie więcej bałamutnych twierdzeń nie ukazujących żadnych perspektyw, negujących wszystkie wzory.

Felietonik szybko znalazł odzew. Mieczysław Jastrun w artykule wstępnym 9 numeru „Kuzniec” (1949) uznał go za objaw faktu istn. „krytyka zaczyna się bronić przed nabytą już jaskrawymi nieporozumieniami w dziedzinie poetyki”.

Nie dziwi nas fakt, iż w takiej atmosferze poemat Gruszczyńskiego doczekał się tylko jednej recenzji... w „Dziś i jutro”. A przecież omówienie „Płomienia czerwonych krawatów” pozwoliłoby na uniknięcie wielu błędów w późniejszym okresie. Gruszczyński w najpełniejszy sposób osiągnął do współczesnej tematyki, adresując swój utwór do aktywistów Związku Walki

Młodych („...niech krytyk kokosza gdać — ja ZWM rozslawiam”). Przy tych wszystkich osiągnięciach poemat „Płomień czerwonych krawatów” trzymał się niewolniczo wzorów Majakowskiego, brak było w nim indywidualnego wyrazu poetyckiego Gruszczyńskiego. „Poematy o generalie Świerczewskim, bardziej dojrzałe politycznie i formalnie (Broniewski, Woroszyński), stanowiły dalszy krok w kierunku formowania się nowego narodowego w formie i socjalistycznego w treści poematu epickiego.

Krytyka milczała... Świadczyło to o tym, że nowe poematy epickie, niosące ze sobą osiągnięcia treściowe i formalne, przebijają się z trudem przez mur nieufności i oporu. Nie była to rzecz przypadkowa. Suma tych faktów świadczyła o tym, że walka klasowa tocząca się na odcinku ideologii znajdowała swoje odbicie również w sprawach wartościowania form literackich. Nie przypadkowo poemat został uznany za formę przeżyłą i nieużyteczną. Niezrozumienie roli większych form poetyckich ma swoje korzenie we wpływach burżuazyjnej ideologii głoszącej degradację wartości treściowych, niosącej ze sobą jednocześnie rozkład formy. Eliminowanie fabuły, akcji, eliminowanie dramatyczności z prozy i poezji, bezkształtność literatury burżuazyjnej powodowała zahamowanie rozwoju poematu o epickim charakterze. Poemat epicki niosący ze sobą pewne fabularne wątki — został uznany za zjawisko niemal nie poetyckie. Wiersz to nie opowiadanie. Oszczędzamy słów. Bądźmy skondensowani. Poezja musi być intelektualna — oto niektóre z wysuwanych hasel. Jeżeli w ogóle przykładało jakieś nadzieje do poematu, to perspektywy były związane z poematem — traktatem filozoficznym. Poemat taki (uprawiany przez amerykańskich faszystów i dekadentów, Sphero, Audens) byłby odpowiednio oszczędny i intelektualny...

Tak więc, szereg słusznych postulatów jak oszczędność słowa, hamowanie przestroju ładunku uczuciowego — stanowiło dymną zasłonę dla sądów niesłusznych i szkodliwych. Poeci na szczęście nie zważali na rady. Forma poematu znalazła wielu zwolenników i przyniosła szereg wspaniałych osiągnięć

II.

Nowy układ stosunków społecznych, nowe życie rodzące się kraju, przyniesło musiało nowe treści i nowe formy wyrazu poetyckiego. Warto poświęcić tu parę słów tworzeniu się nowych form w ogniu społecznych przeobrażeń. Charakterystyczne: nowe czasy uniemożliwiają nam ściśle odgraniczenie gatunków. Poemat epicki, poemat liryczny... Te dwa elementy bardzo często przenikają się lub są ze sobą ściśle zespolone. Twórcą nowego poematu socjalistycznego w treści, nowego i narodowego w formie, łączącego w sobie szeroki obraz historyczny, elementy fabularne i całe partie liryczne — był Włodzimierz Majakowski. Poematy „Dobrze” i

Poprzednio zabierali głos: W Nr 36 — Anna Kamińska, Leon Pokora i A. E. Kirlo Nowaczyk o poemacie „Janosik” Nędzy-Kubińca. W Nr 37 „Wsi” Maria Janion, Jan Błoński — o poemacie „Nad Engelsem” Wygodzkiego. W Nr 38 „Wsi” P. S. Ziarnik i B. Chęciński — o poemacie „Plebani z Chodlna” Skoneckiego. W Nr 41 — Jan Marszałek o „Komunie Paryskiej” Wł. Broniewskiego, Br. Gołębowski o poemacie „Rzecz o trasie W-Z” T. Kubiaka, Seweryn Skulski o „Poematach o gen. Świerczewskim” Broniewskiego, Lewina, Stillera i Woroszyńskiego. W Nr 42 — Andrzej Wasilewski o poezji Woroszyńskiego. W Nr 43 — Jerzy Wacziński, Władysław Udański, Ryszard Jedrzejczyk o poemacie „K. Gruszczyńskiego „Płomień czerwonych krawatów”

„Włodzimierz Iljcz Lenin” wydają się być szczytowymi osiągnięciami Majakowskiego, charakteryzując je całkowicie nowatorstwo w podejściu do tematu i formy. Majakowski zarzuca tradycyjną przestarzałą formę poematu stanowiącą często powiesz wierszem — a posługując się wielką metaforą, skrótem, rysowaniem typowych obrazów. Poemat przypomina nieraz mobilizujący plakat. Rozważania, dygresje na marginesie głównego tematu bliżej są już poematu tradycyjnego (u nas „Beriowski” Słowackiego). U Majakowskiego spotykamy ściągą współczesność elementów lirycznych i epickich:

„Ten dramat w ojczyźnie się naszej rozegrał czy w sercu

rozegrał się, moim?” („Dobrze”)

W innym miejscu spotykamy takie zdanie syntetyzujące:

„Carom pałac zbudował Rastrelli. Carowie rodzili się, żyli, starzeli”.

(Do nowego typu poematu napewno należy również „Komuna Paryska” — która, jak słusznie zauważył Jan Marszałek, nie jest poematem w całej pełni epickim. Należy sądzić, że nie jest to jej wada...). Współczesna poezja radziecka również często sięga do poematu. Charakter tych poematów jest różnorodny treściowo i formalnie. Jedni kontynuują wprost Majakowskiego, grawitując do epiki (Gornostajew), inni starają się wykorzystać zdobycze Majakowskiego osiągnąć już własny i oryginalny wyraz (Lukonin, Kirsanow w poemacie „Aleksander Matrosow”). Jeszcze inni nawiązują do nurtu twórczości ludowej do gawędy żołnierskiej (Twardowski w poemacie „Wasił Tiorcin”, G. Leonida (poemat o Stalinie). Jeszcze inni sięgają wprost do tradycyjnych form (Gribaczow w poemacie „Kochoz Bolszewik”).

Poemat stał się również bronią w rękach wielkich poetów Pabla Nerudy („Niech budzi się drwal!” i poemat o „Boliwarze”) oraz Nazima Hikmeta (poemat o Zoi Kosmodemjanskij).

Wydaje się, że linia rozwojowa poematu związanego z nową socjalistyczną epiką, prowadzi do nawiązania do ludowej twórczości i klasycznej spuścizny, poprzez wnioski z Majakowskiego, poprzez indywidualne środki wyrazu — do nowej socjalistycznej

treści i nowej, narodowej formy. Wydaje się, że przyszłość należy właśnie do poematów nowego typu.

III.

Rozwój poematów epickich, czy też epicko-lirycznych w okresie powojennym związany był w pierwszym rzędzie z tematyką historyczną, bądź aktualno historyczną. Sylwetki wielkich postaci ruchu rewolucyjnego pojawiały na pewne syntezy polityczne i artystyczne. Więcej było wzorów dla poezji romantyzmu rewolucyjnego i wielu pisarzy chętnie sięgało do tej tematyki, pozwalającej na obracanie się w kręgu zagadnień łatwiej wyrażalnych w tradycyjnej poetyckiej formie. Kodzenie się nowego życia i fundamentów socjalistycznego ustroju — to była zupełnie inna dziedzina twórczości, do której było dość trudniej, która wymagała nowego i innego spojrzenia na rzeczywistość, często nowej formy — i nakazywała zastąpić patos rewolucyjnej walki, patosem budownictwa.

Poematy historyczne mogły rzecz jasną nawiązywać i do budownictwa, stanowiąc wielką polityczną syntezę zjawisk. Szczytowym osiągnięciem tego typu poematów jest wspaniały utwór Władysława Broniewskiego o Stalinie. Do poematów o historycznej genealogii zaliczamy również utwory o generalie Świerczewskim (Woroszyński, Broniewski, Stillera, Lewin), Jarosławie Dąbrowskim (Woroszyński), Konstantym Rokossowskim (Tadeusz Urcz), oraz poematy o Janosiku (Nedza Kubińca) i o Ściegiennym (Skoneczny).

Do poematów o tematyce historycznej należy zaliczyć „Lenino” A. Brauna i „Nad Engelsem” Stanisława Wygodzkiego. Wszystkie te poezje cechuje na ogół trzymanie się zyciorysów lub wydarzeń historycznych, jako osi tematycznej — widzimy jednak również pierwsze próby poematów o dramatyzujących fabule i posiadających ambicje politycznych uogólnień — stanowiących niejako pomost między dnem wczorajszym, a dniem dzisiejszym.

W poemacie Woroszyńskiego „Noc Komunardów” czytamy: „Patrz, generale: znowu tują zawisły fronty nad Warszawą. O krok przez Wisłę — wolny szaniec, Sztandar i walka, pieśń i prawo. Harmonia, tocząc się wesoło, dźwiękiem wydłuża ramię chłopca... „Pamiętasz — dawne sny powstania... Czy tała plyną? Chmury płyną... Patrz, generale: znowu tują zawisły fronty nad Warszawą. Chłopiec ma mundur spod Lenina”.

Drugą grupę poematów, znacznie bardziej charakterystycznych dla kierunku rozwojowego współczesnej poezji — stanowią utwory mówiące o socjalistycznym budownictwie: Gruszczyński, „Płomień czerwonych krawatów”, Braun („Noc narodzin”), Kubiak („Rzecz o trasie W-Z”), Wirpsz („Stocznia”), Pijanowski („Pstrowski”), Galis („Opowieść o górniku Janie Chodli”) i Woroszyński („Świt nad Nową Hutą”).

Utwory Wirpszy i Kubiaka na skutek swych zwikłań i dziwactw formalno — treściowych nie spełniły swojej roli. Poemat Galisa razi prymitywizmem. Interesującą próbą, nie zawsze udaną jest poemat o Pstrowskim, podejmujący po raz pierwszy temat współzawodnictwa pracy.

Najciekawszymi jednak wydają się poematy Brauna „Noc narodzin” i Woroszyńskiego „Świt nad Nową Hutą”. Autorzy sięgnęli do tematów związanych z nową rzeczywistością, tworząc w nich syntezę polityczną i artystyczną. Widzimy tu losy fikcyjnych postaci na tle wielkich zjawisk socjalistycznego budownictwa. Losy Zdzicha z poematu „Świt nad Nową Hutą” stanowią niemal wypadkową indywidualnych losów młodych ochotników budujących sztabowaty obiekt Planu 6-letniego. Założenie poematu jest proste: pokazać jak powstaje potężny obiekt przemysłowy, jak kształtuje się świadomość zwykłego chłopca ze wsi wraz z procesem powstawania nowego miasta, jak przełamuje on swoje obawy i wątpliwości dzięki kolektywowi organizacji. Problem walki o zawód, o fach — stanowiący źródło wielu konfliktów, wśród budowniczych Nowej Huty, został przez Woroszyńskiego pokazany z wielką prawdą artystyczną. Forma utworu jest zwaarta, o silnym wyrazie rytmicznym, o zmiennej frazie.

Andrzej Braun sięga do również typowego tematu, pokazując przekonywująco proces zmiany stosunku do pracy, tak dotychczasowy dla kształtowania się nowej socjalistycznej moralności. Bohaterem poematu jest robotnik stocznicy, udający się na nocną zmianę podczas pogoty żony. Jednej nocy rodzi się dziecko i statek. Poemat stanowi ponadto celną i mocną metaforę porównującą indywidualne losy rodziny robotniczej do losów rodzącej się ludowej ojczyzny.

„Wiedź, przyjdzie takich nocy więcej i mrok się zacznie mylić. Gdymy nie przyszłość powstająca

czym byśmy byli?”

Elementy fikcji artystycznej przy zachowaniu typizacji postaci i śmiałości w podejściu do tematu, trafności rysunku psychologicznego, wyraźny walek fabularny, zatarcie granicy między epiką a liryką sprawiają, że poemat ten wysunął się na czoło utworów zbliżających się do realizmu socjalistycznego. Nie zmieniają tego faktu braki artystyczne obu utworów, a szczególnie zagmatwania metaforyki w poemacie Brauna.

IV.

Zbliżyliśmy się do zasadniczego pytania. Którą drogą? Wszelkiego rodzaju kanonizowanie treści i formy do niczego dobrego nie doprowadzi. Błąd ten popełnił w swoim czasie Woroszyński, usiłując nagiąć poezję do ram Majakowskiego — błąd taki popełnili inni, dość liczni, szermujący ogarnym, wywiechtanym, nie mówiącym frazezem, o niepowtarzalności Majakowskiego. Takie zdanie wyjaśniło, czy chodzi o niepowtarzalność Majakowskiego w sensie drugiej, podobnej indywidualności poetyckiej, czy też chodzi o niepowtarzalność środków wyrazu artystycznego. Pierwsze było słuszne — drugie nie. Nie można sobie wyobrazić rozwoju współczesnej poezji bez twórczego nawiązania do osiągnięć Majakowskiego.

Jeżeli stwierdzamy, że nie można dawać recepty na treść i formę poematu realizmu socjalistycznego — to nie znaczy, aby nie można było wysuwać pewnych sugestii rysujących się zresztą wyraźnie w poprzednich

częściach artykułu. W procesie historycznego rozwoju gatunków literackich z poematu epickiego wyłaziła się, w odrębny niejako organizm — powieść. Słusznie pisał Ziarnik w numerze 38 „Wsi”: „Myślę, że w wielu wypadkach upadek tej wielkiej formacji poetyckiej, jakim jest poemat epicki, wiąże się z rozwojem powieści”.

Nie dziwnego, że w związku z tym charakter poematu epickiego musiał ulec zmianie i nadal jej ulega. Nowe zagadnienia będą stanowiły treść poematów. Nowe zagadnienia formować będą specjalny typ poematów. Być może będzie to poemat epicko — liryczny, być może poemat będzie miał nieraz wyraźny retoryczny charakter (poemat — odezwa) związany z metodami współczesnej pracy propagandowo — politycznej.

Poemat-powieść („Plebani z Chodlna”) — moim zdaniem nie ma większych perspektyw rozwoju. Zbyt wydoskonaliła się współczesna proza, by mógł ją zastąpić czyste epicki poemat, najczęściej nużący, utrzymujący w charakterze tradycyjnej poetyki, obszernej. Nie wydaje się, aby „Plebani z Chodlna” stanowił „rewelacyjne wydawnictwo” w naszym życiu literackim i był „najpowważniejszą z dotychczasowych prób w literaturze powojennej odrodzenia poematu epickiego” — jak twierdzi Ziarnik. Wręcz przeciwnie zarówno „Plebani z Chodlna” (mimo wielkiego wysiłku autora), jak i poemat o „Janosiku” należy uznać za zjawiska znajdujące się na bocznych torach naszej literatury — na torze, który nie prowadzi dalej, do nowej stacji poetyckich osiągnięć. „Janosik” posiada wielką zaletę wyróżniającą go z innych tego rodzaju utworów: cechy autentyczności i szczerej ludowości.

Jeżeli chodzi o sprawy formy, to wydaje się, iż nie ma racji Bronisław Gołębowski, piszący w numerze 41 „Wsi”:

„Prosta forma, sugestywny, interesujący tok treściowy, współczesna społeczno — polityczna problematyka utworu, wierne oddanie romantyzmu budownictwa socjalistycznego, niewyszukane, proste, wierne w stosunku do rzeczywistości sylwetki, regularna strofika i wersyfikacja utworu — oto kryteria jakim, według mnie odpowiadać powinien socrealistyczny poemat epicki”.

Gołębowski zresztą sam sobie zaprzeczając pisząc:

„Właśnie na przykładzie twórczości Majakowskiego widzimy najlepiej, czym jest poemat epicki w literaturze socjalistycznej, widzimy jego rolę, oddziaływanie na masowego czytelnika, drogi jego wspaniałego rozwoju. Gdy czytamy poematy „Dobrze”, „Włodzimierz Iljcz Lenin”, „Poemat Październikowy” wyczuwamy jak bliski jest ten rodzaj poetyki ustrojowi socjalistycznemu”.

Nie ulega wątpliwości, że Majakowski nie zmieszczyłby się w ramach załeczeń wysuwanych pod adresem poematu soc-realistycznego przez Gołębowskiego, chociażby z uwagi na to, że nie ma u niego... regularnej strofiki.

Wnioski z tego, co powiedzieliśmy dotychczas są proste: poemat nowego typu winien być oparty o zdobycze współczesnej poetyki, ostateczna forma zaś kształtować się będzie w zależności od indywidualności pisarza. Strofika czy nie strofika — to nie jest zasadnicze zagadnienie. Istotne jest to, czy treść jest związana z formą, czy oddziałują wzajemnie, czy nie „kłóć się” ze sobą.

Poemat epicki ma wszelkie możliwości rozwoju poprzez nawiązanie do postępowego nurtu narodowej poezji, poprzez nawiązanie do rewolucyjnych osiągnięć poezji radzieckiej — a nie poprzez kontynuację np. poetyki XIX wieku. Nawiązanie do tradycji nie ma nie wspólnego z mechaniczną kontynuacją. Trzeba widzieć jakościową różnicę między nurtem formującym się realizmu krytycznym, a rodzajem się realizmem socjalistycznym.

Nowy poemat musi nieść dynamikę powstającego życia.

Grzegorz Lasota.

JÓZEF ANIOŁ

POEZJA EPICKA WYRAZEM WALKI I PRACY

(Głos działacza młodzieżowego)

T RUDNO mi jest myśleć o dzisiejszej poezji, o jej roli i znaczeniu w naszym życiu bez wykorzystania niektórych spostrzeżeń, wyniesionych z pracy młodzieżowej.

Oto np. jesteśmy na zebraniu Koła Z.M.P. w pewnej instytucji. Toczy się dyskusja nad zagadnieniem czytelnictwa. Była mowa o prasie zetempowskiej, o powieściach Kruczkowskiego, Wasilewskiego, Ostrowskiego, Fajdejewa. Napomknięto o poezji. Wówczas jedna z koleżanek o sentymentalnym wyrazie twarzy, pograżona przez cały czas w jakiejś błogiej zadumie, raptem ożywa się. Wkrótce się okazuje, że czuje słabość do poezji. Ale jakiej?

— Ach wiersze unoszą mnie w taki cudny świat, pierzcha nuda... za pominiem o szkaradnym życiu, troskach, zmartwieńcach — zwierzała nam się ową koleżankę.

Nietrudno się domyśleć, jaka to „poezja” uwidla naszą koleżankę. Oczywiście ta mówiąca o różach, łakach kwitających, bajecznych przygodach, kwitających ptaszka itp.

Drugi przykład. Wieczornica Koła ZMP w spółdzielni produkcyjnej. Koleżanki i koledzy występują z recytacjami. Słyszeliśmy „Marszu urodzaju” Majakowskiego, „Komuny Paryskiej” — Broniewskiego wspaniale wyrażają nie tylko recytujący, ale także sami słuchacze. Bliżsi w oczach zebranych, ich skupione twarze, ruchy, wskazują, że oświadnia nimi bojowość i wola czynu. Po wieczornicy — w rozmowach i przy pracy — rodzi się i dawały konkretne wyniki postanowienia młodych chłopów. Na wrogów klasowych padły ze strony zetempowców coraz mocniejsze ciosy, młodzi członkowie spółdzielni dawali przykład rzetelnego stosunku do pracy.

Dwa powyższe fakty mają głęboką wymowę. Gdy z jednej strony szczyłowa poezja mieszczańska służy do zabijania nudy, do stworzenia świata urojen i przeżyć wyłącznie estetycznych, to z drugiej strony poezja rewolucyjna, oparta o socjalistyczny realizm — jest orężem w tworzeniu lepszego jutra.

Jest rzeczą wiadomą, że młodych ludzi pociągają wiersze, a jeszcze bardziej poematy epickie, których walek fabularny i żywy tok akcji daje im zwykle więcej przeżyć i wzruszeń. Zaczynają się n-mi i — choć z rzadkim powodzeniem — próbują sami pisać. Znam takich, jak np. wspomnianą wyżej koleżankę, których różni masę romansidła oraz poezja drobno-mieszczańskich twórców dwudziestolecia, pozbawili aktywnej postawy wobec życia, utrudnili dojrzenie ideologiczne, nie pozwoliły wyrobić sobie właściwego sądu o rzeczywistości. Ale znam także bardzo wielu swoich rówieśników zetempowców, których poezja Broniewskiego, Majakowskiego, czy też młodych naszych poetów jak Gruszczyńskiego, Kubiaka, Woroszyńskiego — zbudziła z sentymentalnej drzemki, uderzyła z pesymizmem, napoiła entuzjazmem i dała siłę do pracy. Ta rzeczywista poezja towarzyszy nam wszędzie. Uczy i wychowuje. Wskazuje wrogów i przyjaciół. Pomaga łamać przeszkody i trudności, słowem wytycza szlaki, lecz radośną drogę do ostatecznego celu jakim jest zwycięstwo wolnego świata nad światem wyzysku i niewoli.

W tym właśnie mi zetempowcy widzą rolę i znaczenie tej naszej poezji, dla której drogę rozwojową nakreślił ostatni zjazd literatów po przeprowadzeniu dyskusji i wyciągnięciu wniosków z dotychczasowego stanu rzeczy.

Pogłębianie dyskusji trwa nadal na łamach pism literackich. Jeśli chodzi o poezję epicką, to bardzo dobrze się stało, że z inicjatywą wystąpiła „Wies”. Wszędzie daje się zauważyć, a szczególnie na wsi, że młodzież — i nie tylko młodzież — pragnie widzieć więcej poematów, opiewających jej życie. „Płomień czerwonych krawatów” Gruszczyńskiego, „Świt nad Nową Hutą” Woroszyńskiego i kilka innych mniej lub więcej udanych — nie zaspakajają młodych czytelników. Trzeba więcej mówić o poezji epickiej, aby w oparciu o wysnutę wniosek młodzi poeci pokusili się o szerokie właściwe ujęcie w dłuższych poematach życia i dorobku młodego pokolenia. Pojedyncze

wiersze, czytane ad przypadku do przypadku, choćby nawet były dobrane treściowo w pewną całość, nigdy nie przemówią do czytelnika tak, jak poemat. Akcja poematu, bogactwo poruszonych w nim zagadnień ze sobą powiązanych, ułatwia czytelnikowi kojarzenie faktów i zjawisk a tym samym zrozumienie całego problemu. Przekonałem się o tym sam na sobie. Przed zjednoczeniem organizacji młodzieżowych należałem do „Wici”, nie była mi też obca droga i działalność Związku Walki Młodych. Ale dopiero po przeczytaniu w 1948 roku poematu Gruszczyńskiego „Płomień czerwonych krawatów”, stanęła przed mną w całej wyrazistości i porównawczej siły chwalebna historia tej rewolucyjnej organizacji młodzieży. Nie tylko historia, ale również rola jaką w dalszych etapach budowania socjalizmu w Polsce będą pełnił b. członkowie Z.W.M.-u, „dziewczęta, chłopcy szesnastoletni”, zahartowani w szeregu bojowych akcji. Zaden wiersz, żadna piosenka o Z.W.M.-ie tego wrażenia na mnie nie zrobiła. Dlaczego? — dlatego, że fragment zagadnienia lub powierzchownie i ogólnikowo ujęta całość nie jest w stanie przemówić wszechstronnie, do głębi i przekonująco. Nie znaczy to jednak, że poemat kol. Gruszczyńskiego, by zatrzeć się na tym, bliskim mi tematyce przykładzie, jest już doskonałym wzorem dla innych poetów.

Poemat swój kol. Gruszczyński przeznaczał niewątpliwie dla szerokiego rzeszy młodzieży. Jeśli tak, to należało nie ograniczyć się do pokazania kilku zaledwie odcinków życia powojennego, na których przejawiała się aktywność Z.W.M.-owcy. To „przejeżdżanie się po łebkach” uszcupliło, zwężło drogę, po której szedł Z.W.M., pociągający za sobą szeregi niezorganizowanej młodzieży. Nie można tych zagadnień i procesów traktować aluzyjnie, jak to nieraz ma miejsce w poemacie. Dalej nie słuszne, moim zdaniem, jest zbytnie skomplikowanie metaforyki, zwłaszcza przy tym adresie czytelnicy.

Mimo bardzo poważnych usterek formalnych i koncepcyjnych poematu, wywarł on na mnie i na wielu

koleżankach i kolegach ogromne wrażenie. Tę niedużą książeczkę można spotkać w świetlicach wiejskich i robotniczych, w rękach młodzieży szkolnej i studentów. I to jest właśnie dowodem, jak wielkie „zamówienie” na poemat epicki o naszym trudnym lecz pięknym czasie istnieje wśród budowniczych lepszego jutra. Przed oczami stają obrazy powojennego budownictwa, zagospodarowywanych się Ziemi Odzyskanych, walki z bandami i reformami. Ale przede wszystkim jest w poemacie obraz rewolucyjnej młodzieży, której entuzjazm, ofiarność i nieugięta wola walki z wrogiem oraz wszelkimi trudnościami — uderza w czytelnika. Wykazany w poemacie patos walki o lepsze jutro i zdobycie władzy ludowej napawają czytelnika głębokim optymizmem i wiarą, iż trud i ofiarność młodego pokolenia nie idą na marne. Poezja daje nam piękną wiedzę o naszym czasie, wzbogacając wzruszeniem tworzącą go człowieka, bliską, żywą i mobilizującą nas do walki.

Myślicie, że łatwo marzyć, gdy zupa w stołówce licha? Proszę spytać robotnika. Oto przyrzekam, towarzysze: o ptaszku, gałązce, gwiazdce dopóki nie napiszę dopóki wiersz mój z wami nie wstąpi na socjalizm choćby przedmieście.

Takie słowa poety, towarzysza walki i pracy milionów, sprawić mogą, iż tysiące młodych dziewcząt i chłopów łatwiej uświadomi sobie piękno i szlachetność walki o socjalizm, uświadomi sobie swoją obowiąz-

żeniem młodych bojowników o socjalizm jest, ażeby z ognia dyskusji nad poezją epicką zrodziły się nowe dzieła przedstawiające w artystycznych, porównawczych obrazach ich codzienną pracę i walkę o radość przyszłości. Wówczas taka poezja będzie dla nas orężem, pomocnikiem i doradcą w budowaniu tej przyszłości.

Józef Anioł.

NA GŁOS SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH

Kiedy nadziedził płon ogłoszonego przez „Wies” konkursu na reportaże o wsi — a był to koniec grudnia 1949 r. — bardzo pokątną część prac stanowiły reportaże o spółdzielniach produkcyjnych. Autorami byli pisarze i wizytujący je korespondenci. Zaledwie parę głosów samych członków spółdzielni. A przecież autorami dwu książek o wrażeniach z kolchozów radzieckich są nasi chłopcy. Część z nich pracuje już pewnie w spółdzielniach produkcyjnych. Wydaje nam się, że w sytuacji 2000 spółdzielni czas już na masowe wypowiedzi samych spółdzielców. Warto by rozpisz o nich ankietę: „nasz pierwszy rok” — „nasze pierwsze miesiące”. Kiedy się na wsiach dyskutuje gorąco sprawę socjalistycznej produkcji rolnej powinny w tok agitacji wejść razem z rozważaniami nad przeszłością chłopską, nad kapitalistyczną pułapką drobnotowarowej, prywatnej parceli, razem z rozważaniami nad wyższością produkcji społecznej i większą wydajnością planowej, technizowanej produkcji na dużej przestrzeni, razem z doświadczeniami z wycieczek do spółdzielni (co nie zawsze i nie często może mieć miejsce), razem z analizą statutow trzech typów spółdzielni — również

i przede wszystkim żywe, zapisane słowo, pionierów — spółdzielców, walczących o nową strukturę społeczną — gospodarczą i budujących ją.

Będą w tych pamiętnikach roku, czy miesięcy — setki najrozmaitszych sytuacji, przypadków, setki konkretnych trudności, wątpliwości i błędów i tysiące sposobów rozwiązań, osiągnięć i niezbitych sukcesów. Często w dyskusjach dostarcza się, że osobiście oporu u chłopów polega nie na generalności a na jakimś szczególnym przypadku, który dla oponującego ma specjalną wymowę. Wśród masowych wypowiedzi spółdzielców znalazłoby się na każdy przypadek, na każdą konkretną wątpliwość — konkretną, rozkładającą uraz i przesąd odpowiedź.

Stawiając ten projekt równocześnie wzywamy członków spółdzielni produkcyjnych do nadsyłania do „Wsi” listów z ich pracy i tworzenia spółdzielni. Prosimy również korespondentów, aby pisali o okolicznych spółdzielniach. Ostatni kwartał wymaga bilansu z tego wielkiego osiągnięcia i wielkiego faktu historycznego — powstania pierwszych blisko dwu tysięcy spółdzielni.

P. Ch.

MIECZYSLAW INGLOT

DROGA DO WOLNOŚCI

AMERYKA Południowa stała się w ciągu drugiej połowy XIX wieku terenem kolonialnej ekspansji Stanów Zjednoczonych. Już ustanowiona z początkiem tego wieku doktryna Monroe'go zapewniła im wolne ręce na kontynencie amerykańskim. Po upadku zmurszałych wicekrólestw, państwa A. Południowej wywodziły się politycznie spod wpływu Hiszpanii i Portugalii, mocarstw, które w tym czasie kończą zasadniczo swą „mocarstwową” karierę. Liczne zamieszki spowodowane intrygmami bogatych plantatorów i ich walką o władzę, pozwoliły obcym mocarstwom a w szczególności St. Zjednoczonym wniknąć w sprawy wewnętrzne owych marionetkowych rządów i rozstrzygać spory na swoją korzyść.

Czego szukali amerykańscy kapitaliści w Ameryce Południowej? Odpowiedź na to pytanie jest łatwa: surowców i rynków zbytu.

Ameryka Południowa, to zasadniczo kraj rolniczy. Kraj kakao, trziny cukrowej, manioku, późnej kawy. Kraj niezmierzonych puszczy, o bogatym drzewostanie, obfitych w naturalne bogactwa w postaci drzewa, owoców, czy też niezmiernie cennej w tym kraju rośliny, namiętności naszej herbaty — yerba mate. Eksploatacja bogactw rolniczych odbywała się przy pomocy siły niewolniczej, przeważnie murzyńskiej (sprowadzanej przez handlarzy niewolników z wybrzeży Afryki). Formalne zniesienie niewolnictwa, które w A. Południowej przypada na koniec XIX w., powoduje przejściowe zachowanie się plantatorów, a to z kolei ingerencję kapitału amerykańskiego, który wykupuje cały szereg plantacji. Ingerencja ta sięgała tak daleko, że na przykład na Kubie (gdzie panowały podobne stosunki) niszczone inne rośliny jadalne, zamieniając wyspę na kraj trziny cukrowej. Kapitaliści amerykańscy dążyli do zahamowania przemysłowego rozwoju A. Południowej. Rzuciła się hasła rolniczej opanowania terenu. Przed oczyma emigrantów z Polski, Niemiec, z całej niemal Europy, a nawet Azji, rozciąga się miraż bogactwa. Powoduje to przybycie całego szeregu nowych ludzi, którzy przeważnie zajmują miejsce dawnych niewolników lub też pomagają im rozszerzać plantacje amerykańskich i brazylijskich właścicieli. Tylko gdzieś niegdzie rozwija się przemysł, nie konkurując zresztą z rodzinnym przemysłem USA.

Oprócz St. Zjednoczonych, szczególnie po I-ej wojnie światowej, występują na terenie A. Południowej kapitaliści niemieccy. Cała ta droga dzieł A. Południowej, odbija się na stanie socjalnym narodów zamieszkujących ten teren. Nędza mas, właściwa przede wszystkim krajom półkolonialnym, spotęgowana zostaje ustawicznym głodem pracy. Czynnikiem panującym jest pieniądz. Za pieniądze kupują Amerykanie rządy, za pieniądze kupują od rządu „sprawiedliwość” rodzimi kapitaliści. Nędza rozbija rodziny, rzuciła dzieci na los szczęścia. W nie licznym zakładach przemysłowych wyrasta jednak klasa robotnicza. Klasa robotnicza jest jedynym czynnikiem, który prowadzi zorganizowaną walkę o wyzwolenie społeczne. W ogniu przesładowań, przezywania, rozłamów teorii rasistowskich, przy nieustannym ataku faszystowskich bojówek i profaszystowskiej policji, krzepnie i wzmacnia się partia klasy robotniczej.

Jorge Amado, znany bojownik o pokój i sprawiedliwość społeczną, zrozumiał istotę zagadnień nurtujących społeczeństwo jego Ojczyzny. Napisana w roku 1935 jego powieść „*Wielki błąd*” jest wernym dokumentem stosunków panujących w Brazylii i w okresie międzywojennym.

Powieść Amado może nosić z powodzeniem tytuł „*Antonio Balduino*”, chociaż bohaterem książki jest nie A. Balduino lub Jubiaba, lecz Jubiaba i Antonio Balduino.

Kto to jest Jubiaba? Imię jego jest i pozostanie symbolem. Choć leży ono na karcie tytułowej książki, Jubiaba jest znachorem, sędzią, kapłanem, nauczycielem. Ale z tym wszystkim jest Jubiaba tradycją, tradycją narodu murzyńskiego, pomnikiem jego wolności i niewolnictwa, jego radości i jego cierpienia. On jeden zna i pamięta najlepiej, on jeden wskrzesza starą murzyńskim językiem to, co minęło. Przypomina o wolności i o zemście.

Kto to jest Antonio Balduino? I tu dopiero zaczyna się opowieść. Opowieść o biednym murzyńskim dziecku ze Wzgórza Kaźni Murzynów, wyrastającym jak młode zwierzątko, wśród ludzkich cierpień, pod urokiem niedalekiego miasta Bahia. Miasto, na które patrzy nocą, jest dla niego wielką nieznana tajemnicą. Marzy o tym, aby ją poznać. Ale to marzenie nie jest jedynym. W wolnych chwilach zbierają się murzyni dookoła chat i gwarzą. O życiu, o przeszłości, o niewolniczym losie murzyńskim, o bohaterach ludowych. O nich to, o Zumbi dos Palmares, o Vileli, o wielu, wielu innych mówią malutkie ABC, tchorzki przgód obrońców ludu murzyńskiego. Na zebraniach te przchodzi często stary Jubiaba. Uczestniczy on także i przewodniczy w uroczystościach religijnych „*macumba*”. Zapatrzoną w przeszłość wskrzesza w swych opowiadaniach murzyńskich zakonowanych na plantacjach, okrutnych panów, bunt przeladowanych. Na zebraniach popisuje się opowiadaniem swych przgód wiozącego ze Carmano. W tej atmosferze urabia sobie młody Antonio typ swego dziecięcego bohatera. Jest

nim wolny człowiek, dla którego świat jest otwarty, obrońca biednych, który nienawidzi pracy, zuch, zabijaka i wieczny buntownik.

Dwie pierwsze partie książki Amado to właśnie droga ku wymarzonej postaci. Antonio uważa ją za swoją drogę ku szczęściu. Po śmierci cioci, która się nim opiekowała, zostaje Antonio wychowankiem bogatego murzyńszczyzny, który chce zeń uczynić oddanego sobie człowieka. Ale Antonio, nieznoszący więzów dziecko Murzyńskiego Wzgórza, nekany jest pragnieniem ucieczki. Bezpośrednia przyczyną do wykonania tego za-



Wiec komunistyczny w Sao Paulo w Brazylii

foto — API

miaru jest chłosta, którą wymierza mu pan domu za rzekome podglądanie jego kapłanej siostry, Lindalwy. Antonio ucieka, a jedynym wspomnieniem, jakie wynosi z domu bogactwa, jest obraz jego jedynaczki, którą pokochał dziecięcym sercem. Wspomnienie jej i pragnienie jej zdobycia towarzyszyć mu będzie do końca życia. Jako kierownik zebrań bandy, przebiega Antonio ulicę i poznaje wszystkie tajemnice miasta. Ale to wszystko nie wystarczy chłopcu. Nie jest zadowolony z życia. „Odczuwa jednak brak czegoś, co będzie musiał zdobyć choćby za cenę przebiegania wszystkich oceanów, wszystkich mórz...”

Z młodego zebra, przywódcę bandy, staje się Antonio sławnym bokserem i... artystą. Walczy na ringu i układa samby, które później odgrywa w teatrze. W końcu tworzy znanego burzowego poety. Kocha się, jest bożyszczem kobiet. Ma pieniądze. Ale jego serce dręczy tęsknota za szczęściem, którego nie posiada. Do tęsknoty dołącza się głucha niemawie nędza. Powstaje w nim pytanie: co jest istotną przyczyną ludzkich nieszczęść?

Wypadki, zmuszają go do opuszczenia Bahii. W drodze do Brazylii, „*Przygody murzyna — tulacza*”, druga część powieści Amado, jest zarazem nowym okresem życiowej wędrówki Antonio Balduino. Autor rozwija postać bohatera, wzbogaca go o nowe wypadki. Ale zasadniczo trzon pozostaje ten sam. Antonio Balduino, dla świata bokser i zabijaka, wewnątrz jest człowiekiem, który szuka drogi ku szczęściu i wolności, swojej „drogi do domu”.

Stając w obronie dziewczyny, Antonio zabija dozorę i ucieka z plantacji tytoniu. W drodze do Bahii spotyka zrujnowanego przez ciężkie warunki życia zebra. Człowiek ten mówi: „Biedny musi cierpieć. Jedni rdzają się dla rozkoszy, to bogaci. Drudzy, aby cierpieć, to biedni. Tak jest od początku świata”.

Tak mówi zebra. Ale Antonio mu nie wierzy.

„ABC o Antonio Balduino” to trzecia i ostatnia część powieści Amado. W czasie swego pobytu w Bahii spotyka Lindalwę. Lindalwa jest prostytutką. W krótkim szkicu kreśli autor jej upadek. Umiera ojciec, porzuca ją narzeczony — potem dom publiczny, coraz gorsze warunki. Umiera Lindalwa, jeszcze jedna ofiara kapitalistycznego systemu. Jeszcze jedno wspomnienie młodości Antonio. Bohater powieści niesłuchanie głęboko przeżywa nieszczęście. Lindalwa powierza mu opiekę nad swym synkiem. Antonio musi zarabiać na życie. Zaczyna pracować jako robotnik. „Antonio Balduino” to zawsze odczuwał pogardę dla pracy. Kiedyś wołał nawet pojąć drogą wskazaną przez morze, niż pracować. Pewnej nocy na wybrzeżu popełniłby samobójstwo, gdyby nie prośba Lindalwy o opiekę nad jej synem. Obecnie czarny spogląda na robotników z szacunkiem. Robotnicy mogą wyrwać się z niewoli!”

W życiu Antonio Balduino zachodzi zasadniczy przełom. Staje się on uczestnikiem nowej walki — strajku. Antonio zaczyna pojmować jak bardzo walka, która toczy się między robotnikami, jest dla niego wielką walką. Teraz rozumie sens walki klasowej.

I w tym wyprzedza świadomości Jubiaby. Stary, zasklepiiony w tradycji, wierzący w przeznaczenie murzyn, mógł zrozumieć walkę jednostek, obca jest mu niemal walka mas. Pojmując jednak, że przyszli inni, więksi, potężniejsi. Że są ludzie, do których należy przyszłość. „Antonio Balduino” wchodzi do domu czarniaka. Teraz spogląda na Jubiabę jak równy na równego. Oznajmia mu, że odkrył to, o czym wspominał w pieśni ABC, że znalazł w życiu drogę wiściwą. Wyszło oko litości bogaczy. Ale oni — biedacy, mogą w każdej chwili, gdy tylko zechcą zniszczyć oko złości bogatych. I Jubiaba, wielki czarnoksiężnik mur-

zyński, skłania się przed Balduino, jak gdyby widział w nim Oksołufę, starego Oxała, największego ze świętych!”

Antonio ginie w walce. Zostaje po nim to, o czym marzył: sława. W malutkim ABC, na końcu zwrotki brzmią słowa: walczył przeciw panom okrutnym.

Amado postawił sobie za zadanie przedstawienie świata kapitalistycznego. I niewątpliwie dopił swego. Brazylija kapitalistyczna, jej ludzie i jej życie wychodzą tu wyraźnie, z drobnymi nawet szczegółami. Każda postać, to jeszcze jeden przyczy-



Wiec komunistyczny w Sao Paulo w Brazylii

foto — API

nek do charakterystyki ustroju kapitalistycznego.

I tu dochodzimy do jądra zagadnienia. Jest nim poruszone powyżej, przejście buntującej się jednostki w walczącą masę. Jest nim wyrażone usilne przekonanie, że czas, w którym takie jednostkowe zrywy i bunt były konieczne, minął, że droga zwolnienia biegnie inaczej. Jednostka

STANISŁAW KRAKOWIAK

W RADZIECKIM DOMU KULTURY

Podczas wycieczki chłopów polskich do Związku Radzieckiego interesowało mnie mocno życie robotników i kolchozistów. Świetlica stała się w Związku Radzieckim nieodłączną częścią życia kolchozu, sowchozu, MTS, fabryki czy szkoły. Nie szczędzi tam się wydatków na wyposażenie świetlicy, na dekoracje i na rozbudowę. Rozbudowane potrzeby kulturalno-oświatowe nie zadawała się zwykłymi świetlicami. Wśród „dzielnic fabrycznych” i w wielu kolchozach spotykaliśmy budowane lub budujące się imponujące domy kultury. Odpowiednio przeszkolony personel świetlic czy domów kultury prowadzi robotę kulturalno-oświatową na wysokim poziomie i dzięki temu świetlica niby magnes ściga do siebie wszystkich, którzy chcą pożytecznie odpocząć po pracy.

W mieście Grozny zwiedziliśmy dwa domy kultury robotników przemysłu naftowego. Domy kultury im. Kirowa jak poinformował nas tow. Bulbain, dyrektor tego zakładu został wybudowany w 1929 r. Jest to potężny budynek składający się z kilkunastu większych i mniejszych sal artystycznie ozdobionych przez miejscowych malarzy i rzeźbiarzy. Znajdują się tu sala kinowa, teatralna, sala odczytowa, zabawowa, biblioteczna i inne. Każda z nich może pomieścić po kilkaset robotników.

Biblioteka liczy ponad 10 tys. książek. Korzysta z niej około 700 robotników. Są również książki polskich autorów jak Mickiewicza, Sienkiewicza, Wasilewskiego w przekładzie na język rosyjski. Kierownictwo biblioteki nie ogranicza się tylko do wypożyczania książek. W czytelni bibliotecznej, odbywają się często odczyty literackie, spotkania autorów z czytelnikami itp.

Sala odczytowa gromadzi robotników, przedowników pracy na narady wytwórcze na wykłady o produkcji, o sytuacji międzynarodowej. Prelegentami są profesorowie wyższych uczelni, nauczyciele, inżynierowie.

Sala teatralna może pomieścić 620 widzów. Na scenie występują zespoły amatorskie lub obywatelowe trupy teatralne. Niedawno miał tu występ chór z Zakarpackiej Ukrainy oraz chór tańca i pieśni kubańskich kozołków.

Liczny zespół amatorski podzielony jest na kółka dramatyczne. Każde ma swojego kierownika-reżysera. Rocznie wystawiają te zespoły 20 — 30 sztuk. Występują one także w fabrykach i innych miejscowościach. Bardzo często występują na scenie domy kultury dziecięce zespoły artystyczne.

W jednej z zacisznych sal spotkaliśmy dziewięcioletnią dziewczynkę, uczącą się pod kierownictwem profesorów z konserwatorium gry na fortepianie. Ira Woronowa — tak się nazywa ta dziewczynka — jest pół sieroty. Ojciec zginął na froncie. Matka jest nauczycielką. Mała uczy się bezpłatnie i czyni bardzo dobre postępy. Oprócz Woronowej uczy się tu muzykę Włodarczyk, gdyż przy domu kultury jest filia konserwatorium Groznyńskiego.

poświęca tutaj swą „wolność”. Czy jednak Antonio Balduino był wolnym, gdy włóczył się po miastach i wsiach Brazylii? Nie. W cyrku był niewolnikiem — publicznością, jako bokser — trenera, na plantacjach — dozorcy.

W czasie jego długiej wędrówki widzimy Antonio w różnych sytuacjach. Niejednokrotnie mamy prawo zapytać, czy Antonio nie upadnie, czy nie zboczy ze swej drogi? Nie. O ile nawet niektóre postępy Antonio są złe, to wypływają one z jego nędzy. I tu widzimy całą przenikliwość Amado, który odsłania całą podszewkę zagadnienia podziału na złe i dobre. Jeżeli ludzie są źli, to są dlatego źli, że zmusza ich do tego kapitalizm, czyniąc z nich nędzarzy.

Na swej drodze napotyka Antonio twierdzenie o przeznaczeniu. Twierdzenie to nie odpowiada jego naturze. I dlatego też nie chce z pokorą znosić swego losu. I dlatego stoi u progu samobójstwa. Co go wyzwala z tego stanu? Proletariat. W dziecku prostytutki Lindalwy znajduje swą rodzinę, w jej śmierci spowodowanej przez kapitalizm, nienawieść ku wyzyskiwaczom. Konieczność zarobkowania na dziecko sprawia, że Antonio staje się robotnikiem.

I wtedy wstępuje na właściwą drogę ku prawdziwej wolności. Drogę polegającą na podporządkowaniu swych nieokreślonych wybrków ogólnej woli. Drogę, która pozwala zrozumieć konieczność zwycięstwa klasy robotniczej w walce z ciemnocami.

Mieczysław Ingłot

*) Jorge Amado, Jubiaba, „Czytelnik”, Biblioteka w Prenumeracie, przekład Małgorzaty Holyńskiej i Eugeniusza Grudy.

JERZY BEREDA

NIE O ŚWICIE ALE O ZMIERZCHU

ABSURDALNE jest dzisiaj wymagania aby Francja była zdolna do wyprodukowania filmu odpowiadającego wymaganiom realizmu socjalistycznego. Filmu „ukazującego w artystycznej formie wizualnej treści wydarzeń, spłotów losów ludzkich, heroizmu i romantyzmu, liryki i patosu walki rewolucyjnej, smutnej prostoty charakterów, humoru i tragizmu, naszej miłości do rzeczy nowych i pięknych oraz głębi naszej nienawieści do reakcyjnych sił starego świata. (S. Wasiliew — „Iskusstwo Kino” 6 (49)).

Celem lepszego zrozumienia katastrofalnej sytuacji w jakiej znajduje się obecnie kinematografia francuska cofnijmy się do chwili zawarcia układu Blum-Byrnes, który zapewnił Amerykanom opanowanie całej niemal kinematografii francuskiej. Realizatorzy i producenci znajdujący się w coraz gorszej sytuacji: ilość produkowanych filmów zmniejsza się z każdym dniem, a hollywoodzcy wykupują i zamykają francuskie ateliery.

Ta beznadziejna niemal sytuacja wywołuje potężny ruch protestacyjny pracowników filmowych, którzy dzięki pomocy tysięcy widzów stworzyli Komitet Obrony Kina Francuskiego i zmusili rząd do udzielenia kredytu krajowej produkcji oraz rewizji układu Blum-Byrnes. Nie daje to jednak żadnych gwarancji co do przyszłości filmu francuskiego.

Wiemy tylko jak jest dzisiaj. Kierunkiem filozoficznym najbardziej propagowanym jest egzystencjalizm. Egzystencjalizm to filozofia ludzi, którzy uznali walkę z ingerencją amerykańską za beznadziejną. Jest to bardzo wygodny sposób odwrócenia uwagi publicznej od zagadnień planu Marshalla.

A oto owoce produkcji. (Cytuję opinie obserwatorów ostatnich festiwalu filmowych).

„*Orfeusz*”. „*Opierając się na greckim mianie Orfeusza, realizator Coteau ukazuje pod tym imieniem bohatera spomiędzy t. zw. „złotej młodzieży”. Orfeusz spotyka „czarną kobietę” na rozkaz której przechodzi przez lustro do królestwa umarłych, gdzie odbywa długą podróż. Demonizm i mistyka, krew i zabójstwa, hipnoza i zjawy pozagrobowe — oto co stanowi treść filmu. Nie więc dziwnego, że Coteau stał się bożyszczem owej zdeprawowanej do szpiku kości młodzieży, którą uczynił „bohaterem” swego filmu.” (Olga Czetkina — „Wolność” 211 (50)).*

Wspomnijmy zeszłoroczne „klasyczne osiągnięcia” tego typu, „*Madon*” Clouzota, czy „*Straszyk*” Coteau.

Mówiąc więc dziś o filmie francuskim musimy pamiętać, że czasy „*Bitwy o szynę*” René Clementa reportażowo-fabularnego filmu o Ruchu Oporu, czasy „*Farrebique*” Rouquier (jedynej chyba próby przekroju środowiska chłopieckiego prowincji francuskiej), czy czasy „*O świecie*” Daquina (1949) należą do przeszłości. Dzisiaj Daquin jest szykanowany przez policję francuską, szczerzy przez reakcyjną prasę, duszony przez cenzurę za walkę o pokój i postęp. Za to, że realizuje w swej twórczości hasło: film jest sztuką, nie przemysłem.

Film jego „*O świecie*” jest opowieścią o życiu górników francuskich. W miasteczku francuskim znajduje się kopalnia. Założono ją tutaj przed wieloma laty. Wokół niej powstało miasto, w którym życie tysięcy ludzi uzależnione jest od garstki właścicieli. Groszowe stawki zmuszają do pracy niemal wszystkich. Idzie o pracę mały Jerzy, który ma 16 lat. Wiele zgryzot przeżywają młodzi narzeczeni Jerzy Gohelle i Luiza ich konflikt obraca się wokół zagadnienia czy Luiza będzie pracowała w kopalni po zawarciu małżeństwa? Kto będzie wychowywał dzieci w czasie ich pracy? Rozumie tę tragedię Marek, Polak. Emigrował on przed laty z rodzinnego kraju w poszukiwaniu pracy, ale wie, że dzisiaj zmieni się tam, wie jakie są warunki pracy, jak wygląda życie górnicze w Odrodzonej Polsce i za wszelką cenę chce powrócić do kraju. Warunki pracy w kopalni poznaje młody inżynier Larzac. O ile inaczej wyobrażał ją sobie k'edy był na studiach inżynierskich. Ulepszenia techniczne potrzebne są wówczas gdy jest możliwość większych zysków — oto credo właścicieli, oto czego pilnuje dyrektor Dubar. A bezpieczeństwo pracy, higiena, stworzenie realnych możliwości życiowych — to nie obchodzi kapitalistów. Walkę o te podstawowe prawa robotnika toczy związek zawodowy. Toczył ją dział młodego Jerzego i Luizy, i ojciec, który zginął w katastrofie gestapo za udział w strajku w czasie okupacji hitlerowskiej. Oto pokrótce treść filmu. Siegniecie po nurtujące zagadnienia społeczne, próba ujęcia aktualnych, interesujących problemów życia. Sam temat daje możliwość stworzenia dzieła realistycznego. Pozostało zapytać o ile zostały one wykorzystane?

Historia walki toczącej się przez związki zawodowy ukazana jest w retrospektywnym skrócie. Od czasów założenia osiedla do wyzwolenia Francji spod okupacji hitlerowskiej. Dalej milczymy, chociaż wiemy, że klasa robotnicza walczy dzisiaj pod przewodnictwem KPP. Tu czujemy łapę cenzury. Cenzura nie pozwoliła pokazać, zdemaskować sprawców położenia ekonomicznego górników: kapitalistów i ich dolarowych mocodawców.

Takich zarzutów można by postawić filmowi więcej. Ciąży na nim widmo cenzury, która tłumi wszelkie możliwe akcenty rewolucyjne. Niezależnie jednak od tego, że rozumniemy doskonale dlaczego film Daquina nie jest filmem w pełni realistycznym, musimy obiektywnie stwierdzić, że nim nie jest, zabrakło mu pełnego, wyczerpującego obrazu walki proletariatu o swe prawa.

Niemniej jednak postępowość filmu nie ulega dyskusji. Wielką zasługą jego twórców jest ukazanie pełnego człowieka. Człowieka ciężko pracującego, przeżywającego troski i radości, miłość prostą i piękną. Atmosfera troski o człowieka pełna głębokiego humanizmu zbliża film do dobrze znanych wzorów radzieckich.

Pozostało sobie życzyć, aby filmy o prawdziwych ludziach, szerzące optymizm i wiarę w człowieka, stanęły u podstaw przyszłej, realistycznej kinematografii francuskiej.

Stanisław Krakowiak

Jerzy Bereda



Świetlica Domu Kultury w kolchozie im. Budiennego

foto — WAF

na wieczory autorskie, oni to zorganizowali z miejscowych robotników kółko literackie, które ma za sobą pokazy dorobek.

Biblioteka domu kultury im. Lenina liczy 13 tys. książek. Biblioteczka ma 13 filii — bibliotek w terenie. Liczba czytelników wynosi 2.500. Przeciętnie dziennie korzysta z biblioteki około 100 osób.

Podziwiałymy piękną salę kinową, klub szachistów, salę przedowników i racjonalizatorów pracy, salę teatralną na 1200 miejsc, klub dziecięcy, salę techniczną, sportową. Obok tego pałacu jest rozległy (19 ha) park kultury i wypoczynku.

Nie tylko miasta mają gestę sieć placówek kulturalnych. Również wieś radziecka zagęszczona jest wielką ilością domów kultury,

świetlica czy nawet „czerwony kącik” to bardzo ważny czynnik w życiu kolchozu, sowchozu, czy MTS. Uświadamiają one, aktywizują, mobilizują członków kolektywu do walki o wykonanie planów gospodarczych, do podniesienia dochodu swojego kolchozu i całego państwa.

Są one kuźnią nowych pomysłów, kuźnią wychowujących się nowych kadr. Te kadry w oparciu o dom kultury i świetlice rewolucjonizują swoje środowisko, narzucając wszystkim styl życia radzieckiego, pełniejszy i pożyteczniejszy.

Aktywny członek świetlicy to przedownik pracy kolchozu czy fabryki. Rewolucja techniczna idzie w parze z rewolucją kulturalno-oświatową.

WOJCIECH DRYGAS

JAK CICHOCKI ZDOBYŁ ŚWIADOMOŚĆ KLASOWĄ

Chłop małorolny Teodor Cichocki ze wsi Bodzianowo miał trudności w uzyskaniu z gminnej spółdzielni „Samopomoc Chłopska” materiałów budowlanych, niezbędnych do wyremontowania budynków mieszkalnego i inwentarskiego. Pozornie więc chodziło o rzecz drobną. O kawałek przeciekającego dachu chałupy i zmurszałe gonty wrastające w ziemię chlewiku, w którym Cichocki trzymał krowę i dwa tuczniki, zakontraktowane przez gminną spółdzielnię.

Można by winić Cichockiego, że nie w porę pomyślał o remoncie; (okres przydziału materiałów budowlanych już dawno minął), gdyby nie pewne okoliczności, które sprawiły, że miejscowy bogacz wiejski Adamczak, pan na 32 hektarach, zabrał się także do oporządzania swego obejścia. Skąd Adamczak uzyskał cement, lepką, smołę i papę — było tajemnicą. Domysły i przypuszczenia prowadziły na podwórko gminnej spółdzielni, ale dowodów nie było żadnych.

Cichockiego aż trzęsło ze złości. Nie dalej, jak przedwcześnie, kierownik spółdzielni rozkładał beznadziejnie i kazał czekać wiosną, gdy w tym samym czasie opasły Adamczak tańczył na dachu z calówką, ciesząc się, że mu jeszcze papy starczy na pokrycie stodoły.

Nie więc dziwnego, że Cichockiego ruszyło i nazajutrz zrobił piekielną awanturę w zarządzie gminnej spółdzielni. Awantura nie zmieniła niczego na lepsze, zakrzyczano go i trzeba było gdzieś indziej szukać sprawiedliwości. Cichocki postanowił przedstawić swoją sprawę na powiatowym zebraniu ogólnym w Cichockim Radzie Narodowej.

Wyjazd do Kutna nie był wynikiem dojrzałego namysłu — raczej chwilowego splotu okoliczności i podrażnienia.

Zielony afisz rozlepiony na bramie głosił:

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kutnie zawiadamia, że każdego piątku w godzinach popołudniowych organizuje zebrania ogólne dla miejscowego społeczeństwa, na których rozpatrywane będą wszelkie sprawy, związane z potrzebami i łagłkami mas pracujących...

Cichocki odepchnął. Jednak ludzie mówili prawdę. W sali konferencyjnej kilkadziesiąt osób, z wyglądu robotników i chłopów przysłuchiwało się z zainteresowaniem wywodom Przedwodniczego Powiatowej Rady Narodowej, który rozstrzygał petycję kola gospodyni ze wsi Suchodębie.

Chodziło o zorganizowanie w gromadzie izby porodowej. Lokal, wyremontowany wspólnymi siłami mieszkańców wioski, był już gotów: trzy oborne izby, białe malowane meble, dużo słońca i w oknach kwiaty. Za tydzień będą tam już rodzice dwie kobiety, a izba nie posiadała dotąd niezbędnych medykamentów i środków opatrunkowych. Na to nie wystarczyło gromadzie pieniędzy. Czekano również na przyjazd położnej i pielęgnarki, dopytywano się, czy będzie można korzystać z opieki lekarza.

Wyczerpującą odpowiedź Prezydium PRN, które z najgłębszą troską rozpatrzyło sprawę suchodębian, przyjęto gorącymi oklaskami. Izba porodowa miała niezwłocznie uzyskać niezbędne środki lecznicze i stała pomoc lekarską.

Korzystając z chwilowego zgłębienia Cichocki zerwał się z krzesła i złożył na stole przesyłanym karteczkę, ustronijną niewprawnym, rozklejonym piśmem:

„Ja, Teodor Cichocki, małorolnik z gromady Bodzianowo, proszę o 11 rolek papy, 80 kg. smoły, 130 kg. lepiku i 300 kg. cementu, bo gminna spółdzielnia nie dała...”

Rozpatrzył się z powtórkiem w wygodnym krześle. Cichocki ważył w myśli każde słowo, które za chwilę chciał wypowiedzieć. Jednym tchem, bez zająknięcia. Ale rzecz dziwna, im składniej wiązał w zdaniu długą opowieść o przeciekającym dachu, którego nie miał czym naprawić, tym bardziej wydawała mu się coraz mniej ważnej w sensie ogólnospołecznej. W przekonaniu tym umacniał się coraz bardziej, im ważniejsze zagadnienia podnosili uczestnicy ogólnego zebrania.

Sprawa budowy nowych studzien w Dąbrowicach była chyba ważniejsza od jego chałupy i chlewu. Tam chodziło o 120 ludzi, pozbawionych wody do picia. Zrozumiał to jeszcze wyraźniej, kiedy Przewodniczący PRN odczytał na głos treść listu, złożonego przez delegację chłopów dąbrowickich obok kartki Cichockiego.

„Budowa nowych studzien w Dąbrowicach od przeszło roku nie mogła dojść do skutku (pisali oni). Wysłuchani dwa tygodnie temu przez Powiatową Radę Narodową na zebraniu ogólnym, nie czekaliśmy dłużej na budowę studni, jak pięć dni. Takie same studnie otrzymały również dwie sąsiednie gromady: Rosinkowo i Marysin. Teraz rozumieć w pełni, że Rada Narodowa wyłoniła z ludu, dla ludu tego walczą o postęp, o dobrobyt i nowe szczęśliwe jutro — o socjalizm...”

List podobał się Cichockiemu. Podało mu się również wystąpienie chłopów mało i średniorolnych ze wsi Strzelce Wielkie. Dwunastu spośród nich postanowiło założyć w swej gromadzie wzorowy chmielnik. Chodziło o to, aby agrotechnicy, specjaliści w tej dziedzinie, zbadali miejscowe warunki glebowe i udzieliли zainteresowanemu pierwszym instrukcji. Wysłała przez Powiatową Radę Narodową komisja rolna ustaliła na miejscu brak odpowiednich warunków, niezbędnych przy racjonalnej uprawie chmielu. Stwierdzono natomiast, że w Strzelcach Wielkich istnieją możliwości uprawy lnu i ziół leczniczych.

Mało i średniorolni plantatorzy słusznie ocenili znaczenie rozszerzenia tych upraw dla szybszej realizacji Planu 6-letniego. Zjawili się dzisiaj na zebraniu ogólnym, aby oświadczyć, że są gotowi zawrzeć kontrakty z gminną spółdzielnią i proszą komisję rolną o stałe kierowanie ich pracą.

Jeszcze Cichocki nie zdążył dobrze przemyśleć tego, co przed chwilą usłyszał, gdy, znajomy, siedzący opodal, trafił go w ramię.

— Wolać was, Cichocki, wstaćcie...

Cichocki powstał z miejsca, czując w sobie wrastające aż do gardła dławienie. Ale kiedy stanął przed stołem przesyłanym — i zaczął mówić — okazało się, że chodziło mu przede wszystkim o zaktywizowanie komitetu członkowskiego gminnej spółdzielni w Bodzianowie, która stała się zaplecze kuliasta. Kułmierskim nieporządkom w spółdzielni może przeciwstawić się nowy komitet, wyłoniony z najbardziej uświadomionych politycznie i społecznie chłopów mało i średniorolnych.

— Uświadomionych — chłopów... — powtarzał kilkakrotnie Cichocki, myśląc o tym, że on sam był przecież członkiem istniejącego komitetu, ale podobnie jak inni zgnuśniał.

Nigdy jeszcze Cichocki nie widział tak wyraźnie, jak właśnie teraz, że nie wiele obchodziło go do dnia dzisiejszego losy organizowanej we wsi spółdzielni produkcyjnej, oszczędzającej przez Adamczaka i kilku innych bogaczy. Złożył podpis Cichocki, złożyli podpisy inni biedniacy i sprawa uległa na martwym punkcie — skończyła się na deklaracjach. Nie było komu ująć śmiało w ręce inicjatywę. A czy sami tej spółdzielni nie chcieli? Czy sami nie dopominali się o pomoc partii?

To że sprawa gminnej spółdzielni w Bodzianowie miała ścisły związek z zagadnieniem spółdzielczości produkcyjnej Cichocki zauważył dopiero w tej chwili. W obu przypadkach występował kulawy czy to w roli kombinatorów przechwytyjących materiały budowlane czy jako rozbijające zebrania gromadzkich kiedy chodziło o przebudowę struktury gospodarczej.

Wyszczególniając w ten sposób zagadnienie po zagadnieniu sprawę po sprawie jakby dawno je segregował i poustawił w czasie i przestrzeni. Nawet (o dziwo!) nie zapomniał o parobku Adamczaku chłopaczką odgrodzonym od wolnego życia bez żadnych możliwości nauki i awansu społecznego. Publicznie zobowiązał się zając się nią i zainteresować jego losem powiatową organizację ZMP.

Kiedy skończył mówić i chciał schodzić z podium ze strony prezydium padło nieoczekiwane pytanie:

— A co będzie obywatelu Cichocki, z waszym lepikiem i papą?

— Z lepikiem? papą — zastanowił się Cichocki, jakby nie wiedział, czego chce od niego i naraz potrząsnął głową. Sprawa lepiku i papy jest już załatwiona. On sam przecież znalazł jej rozwiązanie. Będzie to droga trochę dłuższa, ale skuteczna i trwała. Papa i lepek znajduje się nie tylko dla niego, ale dla wszystkich mieszkańców wsi. Tylko zrobić porządek w gminnej spółdzielni i odsunąć bogaczy poza nawias istnienia. Bo z remontami rzeczywiście trza się pośpieszyć, aby wnieść do spółdzielni produkcyjnej porządek opatrzonej dobytek.

Wojciech Drygas.

JOLANTA NOMERSKA

KADRY ARTYSTYCZNE ZE WSI

W poprzednim numerze tyg. „Wies” ukazał się artykuł Leokadii Kosiniak „O kadrach artystycznych”. Autorka zastanawia się nad trudną drogą, jaką musi przejść wiejski uzdolniony narybek plastyczny, aby zdobyć odpowiednią wiedzę i przygotowanie do samodzielnej pracy twórczej. Twierdzi, że jednym z koniecznych etapów tej drogi jest ukończenie liceum plastycznego typu ogólnego (podała jako przykład „najazd” na Liceum sztuk plastycznych w Krakowie kilku koleżanek i kolegów z jej rodzinnej wsi Zaliptów) a ponieważ ilość stypendiów na ten typ liceów jest określona tzn. ograniczona, autorka wyraża się, że w rezultacie droga rozwinięcia talentów plastycznych dla niezamożnej młodzieży chłopskiej jest mało dostępna. Zdaniem autorki narasta poważne zagrożenie niewykorzystania i zmarnowania twórczych talentów tak potrzebnych krajowi „w budowie sztuki socjalistycznej”. Czy słuszny jest ten alarm? Wydaje mi się, że nie. Wyjdźmy z przykładu autorki. Dlaczego pięć osób jej rówieśników uczyniło najazd na krakowskie plastyczne liceum (ogólnokształcące)? Wyszły za przykładem autorki z tej samej wsi Zaliptów. Wiesz to, jak opisywała kiedyś we „Wsi” Kosiniak, o dużych tradycjach artystycznych, ale właśnie jakich? Czy tylko i przede wszystkim malarstwa sztalugowego? Odtąd nie: malowanie ścian, malowanie

dekoracyjne, stylizowane, ludowe, malowanie pieców, sufitów, ław, kurników nawet psiej budy. Nadto makatki, dywany, wycinanki, ozdoby z szyszek i fasoli, haft. Powtórzmy raz jeszcze, wielostronna sztuka dekoracyjno - użytkowa, to tradycja Zaliptów! Zatem tych pięciu uzdolnionych artystów powinno się raczej rozbić po liceach technicznych, które przygotowują w ramach ścisłej specjalizacji artystyczno-użytkowej dla potrzeb różnych gałęzi przemysłu i rolnictwa. Oto drogi dla kolegów Kosiniak i dla wszystkich młodych talentów, pojawiających się na wsi. Wiele dróg — tzn. perspektywa rozwoju wielu gałęzi plastyki w służbie piękna użytkowego, tej najistotniejszej tradycji artystycznej Zaliptów. Wiele dróg — tzn. i wiele stypendiów. Właśnie licea technik plastycznych są już dziś oparte na bursach i stypendiach, a jest ich wiele i o bogatym zakresie. Na poparcie wymienię kilka:

takto mech, z desygnatorstwem, technika rzeźbiarska — Bielsko Śl. poligrafika, takto mech, introligatorstwo — Bydgoszcz, drobna galanteria, metaloplastyka — Częstochowa, technika rzeźbiarska, metaloplastyka — Katowice, rzeźba, stolarstwo, introligatorstwo, takto mech, fotografika — Kielce, takto mech, z desygnatorstwem, introligatorstwo — Łódź,

LESZEK GOLIŃSKI

WNIOSKI Z DOŚWIADCZEŃ

C. e leżą błędy organizacyjne wieców literackich?

Po pierwsze — imprezy, będące pod nadzorem ORZZ — tu zasadniczo nie miały wytyczonej przedmiotowej tematyki. Często wyjeżdżał na teren literat. jeszcze częściej członek-kandydat Związku, którego twórczość nikomu dotąd prawie nie była znana i wygłaszał fragment swego zazwyczaj nieopublikowanego jeszcze utworu. Oczywiście zarówno wartość ideologiczną, jak artystyczną podjętego wystąpienia mogła stać pod znakiem zapytania. W uświadomionym środowisku robotniczym niefortunne próby bywały zawsze i w miejscach ostro napiętnowane przez samych robotników. W środowisku wiejskim, mniej przygotowanym, może być gorzej, może się zdarzyć, że metne wypowiedzi autora podczas dyskusji uczynią więcej złego, niż intensywna, wroga klasowo propagandą, gdyż podważają zaufanie chłopów, albo doprowadzają go do zupełnej fałszywej sądów. Byłem sam świadkiem, jak w pewnej miejscowości uzdrowskiej wobec kilkuset zgromadzonych chłopów prelegent-literat metne tłumaczył przyczyny klęski wrześniowej, które to zagadnienie zresztą niewiadomo dlaczego wypłynęło podczas dyskusji.

Trzeba przyznać, że Towarzystwo Wiedzy Popołudniowej wprowadza w życie organizację wieców literackich, określając konkretną tematykę i zobowiązując z fragmentami utworów, które mają być odczytane. Zdarzają się jednak wypadki, że poszczególne ogniwa terenowe, zahynowane nazwiskiem literata, kierują go w teren bez uprzedniego uzgodnienia. I znów przykład: przesadne w opisie odmalowanie trudności przy zakładaniu pewnej spółdzielni produkcyjnej, przytaczanie argumentów wrogów klasowych, kulaków — wywoływało na sali zduszone śmiechy i potracania łokciami. Po takiej wizycie literata niejednokrotnie pójdzio na marne wielomiesięczna praca ekipy łączności...

Po drugie: wiecory nie są zorganizowane technicznie. Po prostu nie bardzo wiadomo, kto je ma na wsi organizować. Pomimo uprzedniej wizyty instruktora, pomimo rozklejonych afiszy (w gminie) często sale świecą pustkami, gdyż afiszy nie czytano, a nikt nie pokwapił się oświadczyć zawiadomionym chłopów. Jeszcze pół biedy z takimi wsiami, gdzie znajdują się PGR-y lub spółdzielnie produkcyjne. We wsiach nieuspołeczniczonych i nieuspołeczniczonych literat bardzo często przemawia do gromady dzieciaków, które na sali zabawiają się w łapanke. Oczywiście impreza taka jest chybiona i ogranicza się do pobrania honorarium za występ i do odnotowania, że taki a taki wiecór literacki jednak się odbył.

Organizacja odczytów popularyzatorsko - oświatowych postawiona jest znacznie lepiej. Potężną siłą atrakcyjną jest film, prelegenci posiadają gotowe teksty, zaprobowane i starannie przygotowane, instruktorzy działają dosyć sprawnie. Ale i tu we wsiach, mniej uspołeczniczonych, zdarzają się wypadki całkowitego flakasa imprezy, a brak należytych środków komunikacji doprowadza do opóźnień, co z kolei podrywa zaufanie do akcji odczytowej i trudno potem naprawić raz wyrządzone zło. Prawdziwą plagą referentów — chyba wszyscy oni temu przyklasną — są gromady dzieciaków, zwabione fil-

mem, niesforne i rozbrykane na sali. W rezultacie dorośli nie mogą wysłuchać odczytu, a prelegent zrywa sobie gardło i traci cierpliwość. Brak czynnej postawy ze strony wsi, brak jednego organizatora, odpowiedzialnego za stan sali i przygotowanie imprezy na miejscu — jest źródłem wielu niepowodzeń.

Z własnych doświadczeń wiem, że prelegent musi często jednego dnia obsłużyć trzy wsi, oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów. Brak należytych środków lokomocji, najdrobniejsze przeoczenie czy zapomnienie może zburzyć porządek dnia. Rezultat jest, opanakany albo ludzie czekają na prelegenta, albo prelegent na słuchaczy. Zdarzają się i takie wypadki, kiedy sołtys robi wielkie oczy i okazuje się, że nikt o mającym się odbyć odczycie nie wiedział...

Nie od razu Kraków zbudowano. Ołbrzymia machina, jaką jest akcja odczytowa na wsi, musi się dopiero rozkręcić, musi nabyć pewien zasób doświadczeń, technicznych usprawnień. Akcja propagandowa planu sześciolatniego spełnia i pełni ogromną rolę. Organizowane obecnie akcje przebiegają niewątpliwie pomyślnie. Warto zastanowić się nad utworzeniem powiatowych kół prelegentów, skoro wojewódzcy nie wszędzie mogą dojechać na czas.

Dość uwag nasuwa również współpraca z filmem. Krótkometrażowe i waskotaśmowe filmy nie zawsze spełniają należycie swoją rolę. Akcja propagandowa planu sześciolatniego połączona była bardzo często z wyświetlaniem krótkometrażówek — bardzo zresztą popularnej — o odbudowie Warszawy p.t. „Szeroka droga”. Kopie tego filmu były często tak zle, że publiczność wiejska opuszczała z niezadowolaniem sale: innym razem napięcie aparatów projekcyjnych, brak należytego zaciemnienia sali lub ekranu. Prowizorium nie zawsze bywa rzeczą przypadkową: częściej wypływa z czystej winy, z czegoś karygodnego przeoczenia.

Partia udziela w terenie prelegentom żywcem, wszechstronnej pomocy. Ale brak często tej pomocy ze strony organów administracji terenowej, ze strony gminnych rad narodowych, ze strony zarządów spółdzielni produkcyjnych i Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Garść powyższych faktów zebrana jest z terenu tylko jednego województwa. Nie mniej są one typowe i dlatego można i należy je generalizować, gdyż środki zaradcze przydatne będą również na każdym terenie. Równolegle z tempem rozwoju ekonomicznego wsi, z rozwojem środków produkcji wsi polskiej, z przemianą jej stosunków produkcyjnych — iść musi wszechstronna akcja, podnosząca świadomość mas na wyższy stopień, podnosząca poziom kulturalny jej mieszkańców. Rozwój radiofonii, przewodowej, zagęszczająca się sieć kin wiejskich, periodyczny odczyty i wiecory literackie — równolegle ze wzrostem stopy życiowej mieszkańca wsi — umożliwiają przeprowadzenie jej socjalistycznych przeobrażeń. Dziesiątki literatów, setki i tysiące prelegentów TWP — stają się dzisiaj awangardą nowego jutra na wsi. Usprawnienie ich pracy, udoskonalenie metod upowszechniania oświaty i kultury jest naszym najważniejszym zadaniem, domagającym się jak najwyższego rozwiązania.

Leszek Goliński

Listy z terenu

takto mech, ceramika, koronkarstwo — Sędziszów Małopolski, rzeźba w drzewie — Naleczów, takto mech, meblarstwo — Tarnów, metaloplastyka, koronkarstwo — Wisnicz Nowy, stolarstwo — Naleczów.

Do liceów Technik Plastycznych są przyjmowani absolwenci 7-klasowej szkoły podstawowej na podstawie egzaminu wstępnego, stwierdzającego uzdolnienia plastyczne kandydatów oraz ich odpowiadający rozwój umysłowy. Nauka trwa 5 lat, Licea są dwustopniowe. I — stopień obejmuje 3 lata nauki. Po ukończeniu pierwszego stopnia uczniowie otrzymują uprawnienia czeladników. Po ukończeniu liceum II stopnia uczniowie zdają egzamin dojrzałości, otrzymują tytuł technika (w danej specjalności) i mają też prawo wstępu na wyższe uczelnie.

Ale i na tym nie kończą się jeszcze możliwości młodych talentów plastycznych ze wsi. Sprawa podstawowa to ich dalsze kształcenie się po szkole powszechnej. Niech pójdą do szkół zawodowych: przemysłowych, rolniczych. Tu stypendia i bursy czekają. Ładnie pisze Kosiniak, że dla rozwoju sztuki soc-realistycznej „potrzeba łączności z masami ludowymi; kto może najłatwiej odnaleźć te drogi w twórczości? Młodzież robotnicza i chłopska”. A w szkołach zawodowych: przemysłowych i rolniczych stracił to łączność, czy zacięni i wzmocni? W powiązaniu z fabryką, z klasą robotniczą, która rozwija racjonalizatorstwo, socjalistyczny wysiłek pracy, w powiązaniu z chłopstwem mało i średniorolnym, które toczy walkę z kulakami, które tworzy spółdzielnie produkcyjne. Myślę, że talentowani malarzsko, abiturienti szkół zawodowych zostaną „odstąpieni” przez CUSZ Akademiom Plastycznym, właśnie dla sprawy rozwoju naszego życia gospodarczego, naszego planu sześciolatniego i budowy socjalizmu na wsi.

Oto, jak pokazałam, wiele istnieje dróg dla talentowanych artystów ze wsi. I ta ostatnia nie jest zła. Ona umacnia klasową i socjalistyczną więź młodych talentów wiejskich z bazą naszych rewolucyjnych przemian.

Daje gruntowną, szczegółową

wiedzę, wieloletnie życie i umiłowanie. Na takim gruncie wyrosnąć sztuka, która nie będzie obca klasowo i inteligentno dyktanka wobec twórczywa i treści pracy klasy robotniczej i chłopstwa, wchodzącego na drogę uspołecznienia.

L. Kosiniak ma jeszcze jedną wątpliwość. Czy wyższe studia plastyczne (Akademie, gdzie sama się znajduje) nie grożą absolwentom bezrobociem? Czy znajdą oni „trwałe oparcie” to zn. pracę? „Do brzo byłoby” — pisze autorka — „mieć pewność”. A wstyd! W tym pytaniu wyraża się niezrozumienie naszego planu 6-letniego w ogólności, a w zakresie kadr w szczególności. Przecież my szkolimy na akademiach studentów nie dla ich subiektywnej tylko satysfakcji. Ilość studentów jest tu określona minimum zapotrzebowania przez Plan 6-letni.

Ukończenie uczelni artystycznej każdego typu daje taką samą gwarancję otrzymania warsztatu pracy jak i ukończenie każdej innej uczelni typu humanistycznego czy politechnicznego.

Uchyliłam dwie podstawowe wątpliwości L. Kosiniak. Jak widzieć, nie o tam należało pisać, Koleżanko. Od Was kiedy, wprost z Zaliptów dostaliśmy się do Akademii, oczekiwaliśmy należało innego apelu. Tak, jak mnie odkryto (przez konkurs) w Zaliptu, tak odkrywamy uporczywie talenty malarzskie i plastyczne na wsi w całej Polsce — taki powinien być Wasz apel. I to nie byłoby już wołanie w imieniu „Janków Muzykantów”. Tamci byli ukryci dla kapitalizmu. I tamtych potrzeba było tylko „trochę”. Nam potrzeba jak najwięcej, wszystkich i my przez kółka ZMP, możemy wiedzieć o wszystkich! Kółka ZMP na wsi winny informować powiatowe i wojewódzkie zarządy oraz kuratoria o miejscowych talentach artystycznych. Tym zadaniem należy je obarczyć. A robotnicze kółka ZMP w większych miastach, gdzie są licea technik plastycznych, gdzie są ogniska plastyczne mogłyby (w akcji pomocy kolegom ze wsi) znaleźć utalentowanym miejsce pracy i w ten sposób stworzyć jeszcze jeden rodzaj warunków, umożliwiających zdolnym plastynom ze wsi artystyczne szkolenie i doskonalenie.

Jolanta Nomerska

WŁADYSŁAW UDALSKI

JESZCZE W SPRAWIE KADR LITERACKICH

Osobiście zainteresowany, pilnie śledzę rozwój naszego życia literackiego i nie mogę oprzeć się wzruszeniu, kiedy biorąc do ręki ostatnie numery „Wsi”, spostrzegam całe kolumny wypełnione pracami ludzi, którzy wyrosli z terenu i dyskutują nad palącymi problemami udziału literatury w realizacji Planu Sześciolatniego mówią o potrzebach, nadziejach swojej klasy.

Dzisiaj kiedy nasz kraj burzliwie i z zapalem buduje szerokie zrebry socjalistycznej przyszłości, kiedy ustawicznie trzeba uczyć się nowego, by nadążyć rozmachowi naszego budownictwa, robotnik czy chłop bierze powieść czy wiersze po to, by się utwierdzić w przekonaniu, że jego trud jest szlachetny, że trud ten ma swój głęboki ludzki sens i na swoje piękno. Pisarz ludowy dlatego musi być niesłychanie czujny na przemiany zachodzące w świadomości mas pracujących. Aby przedstawić klasę robotniczą, trzeba ją znać, trzeba z nią walczyć aktywnie o Plan, o Socjalizm. Gdy chłop czy robotnik chwytają za pióro, gdy pragnie swoje doświadczenia upowszechnić drukiem, gdy wzrusza go głęboko walka o te wartości, jakie zawierają się w słowie socjalizm i gdy dla tego wzruszenia szuka trafnego wyrazu — wówczas od redakcji, do której jego prośba zawędruje, może dużo zależeć, czy z pierwszych nieudolnych jeszcze wierszy nie wyróżni pisarz. Redakcja w tej sytuacji musi wykazać dużo dobrej woli i dużo czujności, bo nie zawsze nieudolność tyle znaczy, co grafomania.

Bardzo odpowiedzialna a w wielkości pism zaniedbana jest praca redakcji literackich nad początkującym pisarzem, mimo, że na obecnym etapie organizowania kadr posiada istotne znaczenie. Bardzo szlachetnie zauważył kol. Skulski w swojej wypowiedzi o kadrach, że naszym młodym talentom jest potrzebna pomoc marksistowska. Początkującemu należy błędy wytykać otwarcie, by poznać, że pod surową niekiedy krytyką kryje się głęboka troska o jego poprawny rozwój pisarski. W celu konkretyzowania możliwości pisarskich — sądzę — bardzo przydatne jest nawet podsumowanie pewnych tematów związanych ściśle z jego własnymi doświadczeniami życiowymi. Chodzi o doprowadzenie świadomości do tego stopnia rozwoju, w którym czujność ideologiczno-artystyczna na tyle się zaostreży, że młody pisarz bez większych trudności uchwyci polityczny sens otaczających go zjawisk.

Sądzę, że nie należy zbyt pochopnie drukować prac nadsyłanych, o ile nie odpowiadają przynajmniej minimalnym wymaga-

niom. Druk wiersza czy prozy winien być zapłatą za ciężki trud, winien zastrzyczyć odpowiedzialność za to, co się pisze i mobilizować do wyższych osiągnięć. Każdy poeta czy prozaik winien pamiętać o tym, że jego wiersz czy proza bardzo często może posłużyć jakiejś kółku zetempowskiemu — mówiąc przysłuchano — do celniejszego oświetlenia skomplikowanych zagadnień współczesności, może być celnym pociskiem trafiającym we wroga klasowego. Sam kiedyś podczas pracy w wieciorowej szkole politycznej ZMP szeroko korzystałem z materiałów konkursu na reportaż o wsi.

Bardzo potrzebne byłoby wskazanie — w zależności od rozwoju intelektualnego — lektury ideologicznej i literackiej. Kto wie czy nie słuszne byłoby moralne zobowiązanie do znajomości postępowej literatury przeszłości i współczesnej. W Czechach i w Niemczech, w Republice Demokratycznej istnieją w organizacjach młodzieżowych odznaki za dobrą wiedzę, sądzę, że u nas dopóki nie zainteresuje się tym ZMP i nie wprowadzi w swoich szeregach, młodzi literaci winni, bez odznak oczywiście, moralnie — niejako z racji zawodu — wykazać się uporządkowanym zasobem kultury literackiej. Redakcja powinna sprawować kontrolę nad rezultatami tej pracy. Byłaby to jeszcze jedna forma pomocy, szczególnie efektywna na wsi, gdzie wiele młodych talentów nie ma wie od jakich wzorów zacząć.

Moje uwagi wypływają w dużej mierze z własnego doświadczenia i potrzeb w tym kierunku. Pisać zacząłem już dawno. Nikt mi jednak nie pomagał tak, bym z tej pomocy wynosił realne korzyści. W szkole traktowano to jako pewnego rodzaju marnie, która przemienia, chociaż może to i była marnia właśnie dlatego, że nie było planu, pomocy i odpowiedniego nastawienia.

Kiedy na początku 1949 r. zdecydowałem się wysłać swe próby do ówczesnej „Kuźnicy” odpowiedział mi stereotypowo: „nie wykorzystamy”. Jakby mnie kto zinną wodą oblał. Weale nie pragnąłem druku, chciałem się jedynie dowiedzieć o wartości tych prób i możliwościach na przyszłość, względnie uzyskać jakieś wskazówki. Przesłałem pisać, bo po co bezużytecznie zwracać sobie i komuś głowę. Sądzę, że wielu chwytających się za pióro spotka się z taką „przejmnością”. Ze zacząłem znowu pisać i będę pisać to wpływ życia, które szturmem często zdobywa człowieka, i opieki, z jaką spotkałem się w redakcji „Wsi”, za co dziękuję.

Władysław Udański

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Staryńkiewicza Nr. 7.

Prenumerata i Koloportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 727-26 Tel. Redakcji 751-80 do 100 wewnątrz 23 i 97 Wd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. C. Z. Y. T. E. L. N. I. K. - REDAKCJA NIE ZAMÓWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960,—zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKC Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. Człotnik Mareszalska 3/6 B-127731

2zy jesteś

już członkiem

Towarzystwa

Przyjaźni

Polsko-Radzieckiej